

KATARZYNA WYCISK



FREAK

Naucz mnie oddychać

ROZDZIAŁ 1

REINER

– Słyszałem, że za niedługo możemy się spodziewać zaproszenia na wielką uroczystość. – Joshua sugestywnie porusza brwiami, uśmiechając się tak szeroko, że powoli zaczyna przypominać Jokera.

Przerywam uderzanie w worek bokserski, ocieram pot z czoła i odwracam się do moich kompanów z jednostki. Większość właśnie kończy kolację, a niektórzy, podobnie jak ja przed chwilą, trenują. Siadam na ławie i wlewam w siebie całą zawartość butelki z wodą.

Już jako dzieciak marzyłem o tym, by pewnego dnia wstąpić do straży pożarnej. Chciałem ratować ludzkie życie, brać udział w akcjach, stać się kimś istotnym. Śmierć moich rodziców tylko umocniła to pragnienie. Zostanie strażakiem nie było łatwe, ale wiedziałem, że dam radę. Jestem cholernie uparty, jeśli naprawdę na czymś mi zależy.

Kandydat na strażaka musi być wysportowany, zdać testy sprawnościowe sprawdzające siłę, dynamikę oraz wytrzymałość. Większość kończy swój udział w naborze na tym etapie, nie osiągając minimalnego poziomu. Poza testem na sprawność



fizyczną jest się poddawany próbie lęku wysokości. Etap rekrutacji kończy się na rozmowie kwalifikacyjnej, po której wyłaniani są najlepsi kandydaci. Po tym wszystkim pozostaje jeszcze komisja lekarska, która wnikliwie sprawdza zdolność psychofizyczną do pełnienia służby.

Przeszedłem przez wszystkie etapy naboru i jestem tu, wśród moich braci, w Straży Pożarnej w Tuttlingen.

– Chyba coś przegapiłem – odzywa się Elias. Jak zwykle ma paszczę pełną jedzenia i wygląda przy tym jak wielgachny, łysy chomik.

– Mia ma jutro urodziny – tłumaczy Luka – a Schwarz kupił jej pierścionek – mówi to w taki sposób, że nie wszyscy od razu się orientują, o co tak właściwie chodzi.

– Chcesz się oświadczyć? – Jace robi wielkie oczy, jakby to, o czym wspomniał, było czystym wariactwem, a przecież powinien wiedzieć, że prędzej czy później odważy się na ten krok.

Mia jest wyjątkową kobietą, do tego wygląda i porusza się jak modelka. A skoro już mowa o ruszaniu się, seks z nią to po prostu petarda. Jesteśmy parą od czterech lat, ale znamy się jeszcze z czasów podstawówki. Ten niepozorny rudzielec z piegowątą twarzą zawładnął moim sercem już wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

– W twoich ustach brzmi to okropnie radykalnie, Becker – mówię do Jace’a, kradnąc mu z talerza jedną frytkę.

– Planujesz jej wręczyć pierścionek czy tylko pudełko? – kpi sobie ze mnie. – Małżeństwo to poważna rzecz. Jesteś pewien, że chcesz spędzić z tą panną resztę życia? Przypomnij mi, ile razy już się rozstawaliście?

Przewracam oczami, wdychając przy tym głośno. Nie wiem, co mu na to odpowiedzieć. Nasz związek jest po prostu burzliwy, ale przynajmniej nigdy się nie nudzimy. Mam świadomość tego, że nie jesteśmy perfekcyjną parą i wielu rzeczy musimy się jeszcze nauczyć, ale przecież to nie jest żadna przeszkoda.

Jestem przekonany, że czeka nas szczęśliwa przyszłość. Zamierzam trwać przy Mii w dobrych i złych momentach. Chcę być dla niej wsparciem i wiem, że ona czuje podobnie.

– Nie bądź dupkiem, Becker – wtrąca się Scott, który zresztą jako jedyny z naszej paczki lubi Mię i zawsze staje w jej obronie. Gdyby nie fakt, że ma świetną żonę i trójkę dzieci, pewnie nie cieszyłbym się tak bardzo jego przychylnością względem mojej kobiety. – Kłótnie są częścią każdego związku, grunt, żeby wyciągać z nich wnioski i nauczyć się ze sobą kooperować. Ruda to dobra dziewczyna, podjąłeś słuszną decyzję – zwraca się do mnie, ale nie zdąża powiedzieć ani słowa więcej.

Nasza rozmowa zostaje przerwana przez głośny alarm.

Mamy minutę na dotarcie do szatni, przebranie się i wyjechanie z remizy. Nieważne, czy ktoś z nas jest w tej chwili pod prysznicem, śpi, załatwia swoje potrzeby czy trenuje. Do akcji musimy być gotowi w bardzo krótkim czasie.

– Zbierać się! Ruchy! – rozkazuje Scott będący naszym dowódcą.

Adrenalina buzuje mi w żyłach, wprawiając serce w szaleńczy galop. Przez wielu strażacy uważani są za superbohaterów, jednak ja nigdy się tak nie czułem. W pracy często towarzyszy mi strach, ale myślę, że to właśnie on pozwala bezpiecznie wychodzić z różnych sytuacji. Dzięki niemu zachowuję większą ostrożność. Kiedy po raz pierwszy widziałem strażaków w akcji, rzeczywiście sądziłem, że są pozbawieni lęku, ale teraz, będąc jednym z nich, wiem lepiej. Prawda jest taka, że tylko głupi się nie boi.

Dowódca informuje nas, że w domu wielorodzinnym wybuchł pożar. Budynek jest oddalony od naszej remizy o niecałe dziesięć kilometrów, a na miejsce jadą jeszcze trzy jednostki BF¹ oraz dwie FF².

¹ BF – *Berufsfuerwehr* (w Polsce PSP) – Zawodowa Straż Pożarna (wszystkie przypisy pochodzą od autorki).

² FF – *Freiwillige Feuerwehr* (w Polsce OSP) – Ochotnicza Straż Pożarna.

Błyskawicznie zakładam specjalny kombinezon nomex i buty, następnie zabieram hełm, rękawice, kominiarkę i aparat powietrzny. Wsiadam do wozu bojowego, a zaledwie sekundę później ruszamy do akcji.

Gdybym nie znał moich towarzyszy, uznałbym, że w ogóle się nie stresują. Jadąc na miejsce wypadku, zawsze zdają się rozluźnieni, rozmawiają między sobą, a niektórzy nawet żartują. Z czasem zrozumiałem ich zachowanie. Generalnie chodzi o to, żeby skupić uwagę na rzeczach pozytywnych. Nieustanne zamartwianie się i analizowanie jest najgorszym, co moglibyśmy zrobić. Decydując się na służbę w straży pożarnej, zdawałem sobie sprawę, że jest to zawód o wysokim stopniu ryzyka, wymagający dużej odporności psychicznej. Praktycznie każdego dnia i nocy narażamy życie, ratując innych. Ludzie na nas liczą, ufają nam. Mimo niebezpieczeństwa nie żałuję swojego wyboru. Kocham tę robotę i mam wrażenie, że jestem do niej stworzony. Nie wyobrażam sobie innego życia.

Milczę jako jedyny. Mam własne sposoby na zachowanie spokoju. Nieważne, ile czasu zajmuje dojazd na miejsce, za każdym razem zamykam oczy i odtwarzam sobie w myślach kawałek *Stairway to Heaven* zespołu Led Zeppelin. Koncentruję się na tym enigmatycznym utworze, nie pozwalając sobie na snucie hipotez dotyczących zbliżającej się akcji ratunkowej.

Wreszcie docieramy na miejsce. Od razu gdy samochód się zatrzymuje, wybiegamy na zewnątrz i wykonujemy polecenia dowódcy. Czarny dym unosi się nad płonącym budynkiem niczym smok chroniący swojego skarbu. Do moich nozdrzy trafia charakterystyczny zapach spalenizny. Już na pierwszy rzut oka widać, że najbliższe chwile będą istnym piekłem. Elias z trzema kolegami zabezpieczają teren, Joshua, Liam i ja zabieramy sprzęt i kierujemy się ku wejściu do bloku. Całe szczęście, że większość mieszkańców zdążyła wybiec na dwór, ale kilku nadal jest w środku.

Nie znamy jeszcze przyczyny pożaru, a płomienie zajęły niemal całe drugie piętro i ciągle się rozprzestrzeniają. Gdyby tego było mało, wieje dość silny wiatr, który tylko podsyca ogień. Moi kumple oraz inni strażacy rozwijają węże i lada chwila zaczęną gasić żywioł.

Zakładamy maski tlenowe, a kiedy drzwi wejściowe zostają wyważone, natychmiast wchodzimy do środka. Ogień zdaje się ryczeć, drewno trzeszczy i wszędzie unosi się żar. Musimy działać szybko i rozważnie. Nawet najmniejszy błąd może kosztować nas życie.

Po kilku minutach znajdujemy dwie kobiety i mężczyznę. Nie są poważnie ranni, ale przerażeni niespodziewaną sytuacją z trudem trzymają się na nogach. Przez radio meldujemy o postępach, a Joshua wyprowadza poszkodowanych na zewnątrz. Jace idzie ze mną na drugie piętro. Brakuje jeszcze jednej osoby.

Nie mija wiele czasu, gdy zauważam nieprzytomną dziewczynkę. Leży z misiem w objęciach, cała ubrudzona sadzą, i wygląda, jakby po prostu spała. Natychmiast do niej biegnę, ale zanim docieram na miejsce, dzieje się coś, czego nikt z nas nie był w stanie przewidzieć. Coś, co w zaledwie kilka sekund niszczy całe moje życie i niweczy plany na przyszłość.

Słyszę ostrzegawczy krzyk mojego przyjaciela, a w następnym momencie zostaję odrzucony przez gorącą falę ognia. Żywioł wżera się w strażacki uniform, a ja czuję, jak materiał wtapia mi się w skórę. Maską tlenową pęka wskutek uderzenia o przeciwną ścianę, jej lewa część zostaje strawiona przez płomienie. Obezwładnia mnie tak silny ból, że w pierwszej chwili nie jestem w stanie nabrać powierza. Mam wrażenie, że moje ciało zostaje zaatakowane przez miliony ostrzy, jakby ktoś zrywał ze mnie skórę kawałek po kawałku, polewając przy tym kwasem.

Wołam o pomoc, wrzeszczę, błagając w duchu, by to się wreszcie skończyło. Cały się trzęsę. Mięśnie zaciskają się mocno w agonii. Ktoś odciąga mnie na bok, obraca twarzą do podłoża

i przykrywa prawdopodobnie kocem gaśniczym. Dopiero po kilku sekundach dochodzi do mnie, że to Jace. Staram się nie stracić przytomności, ale oczy zachodzą mi ciemną mgłą. Może to i lepiej, nie mam pojęcia, ile czasu minie, zanim postradam zmysły od tego cierpienia.

– Trzymaj się, Schwarz! Wszystko będzie dobrze! – Głos mojego przyjaciela jest niewyraźny i przytłumiony, ale nie da się zignorować przebijającej w nim paniki.

– Co z tym dzieckiem? – wyduszam resztką sił.

– Reiner – wypowiada moje imię, co oznacza, że musi być ze mną naprawdę źle. Zwykle posługujemy się ksywkami lub nazwiskami.

– Zostaw! – krzyczę, a raczej próbuję, bo to, co ze mnie wychodzi, jest ledwo słyszalnym szeptem. – Zapiierdalaj do niej! Pomóż jej!

Nie darowałbym sobie, gdyby z mojego powodu ta mała nie przeżyła. Wiedziałem, na co się piszę, wstępując do straży pożarnej, liczyłem się z możliwymi konsekwencjami. Ona ma przed sobą jeszcze wiele wspaniałych lat.

– Wezwałem posiłki, zaraz tu będą. Trzymaj się! – powtarza, po czym wreszcie biegnie do nieprzytomnego dziecka.

Próbuję odciągnąć myśli od bólu, ale to wydaje się niemożliwe. Nigdy przedtem nie czułem czegoś podobnego. Staram się skupić na oddychaniu. Zmuszam się, by nabierać i wypuszczać ciężkie, smoliste powietrze. Jedno uderzenie serca później dołącza do nas grupa strażaków, którzy natychmiast schładzają nas wodą, po czym udzielają mi pierwszej pomocy, zakładają maskę tlenową, przekładają na nosze i opuszczają budynek.

Piszczy mi w uszach, a ból zamiast mijać, ciągle się nasila. Powieki opadają same, coraz trudniej jest mi je otwierać. Ratownicy medyczni mówią coś o oparzeniu drugiego i trzeciego stopnia, następnie wchodzi ze mną do karetki. Rozlega się głośne wycie syreny, a zaraz potem ruszamy. Nie jestem pewien, co

ze mną robią. Zanim tracę przytomność, sięgam prawą ręką do maski i odsłaniam ją delikatnie.

– Co z tą małą? – pytam, ale nie dostaję odpowiedzi.

Ratownicy próbują mnie uspokoić, a chwilę później moje ciało staje się coraz cięższe, aż wreszcie znikam...

NATALIA

Łapię za czarną gitarę, której wierzchnia płyta wykonana jest ze świerku, co daje bardzo jasne i śpiewne brzmienie. Stosunkowo duże pudło w kształcie dreadnought, zapewnia mocny i donośny dźwięk, dzięki czemu doskonale sprawdza się do grania akompaniamentu. Nawet bez dodatkowego nagłośnienia jest na tyle dobrze słyszalna, aby grać na niej na kameralnych koncertach. Po prostu idealna!

Wychodzę na balkon, gdzie urządziłam sobie całkiem przytulny kącik. W prawym rogu stoi hollywoodzka huśtawka, na środku niski drewniany stolik, a przy nim kilka wygodnych pupów. Siadam na jednej z nich i rozstawiam nogi, przyjmując odpowiednią pozycję do grania. Nabieram do płuc świeżego powietrza, a kiedy wypuszczam je przez lekko uchylone usta, zamykam oczy, odcinając się od otaczającego mnie świata. Dotykam metalowych strun, opuszkami dociskam kilka z nich, a drugą ręką zaczynam je delikatnie szarpać.

Muzyka jest dla mnie czymś niezwykle ważnym. Dzięki melodii potrafię wyrazić siebie bez zbędnych słów. Przy niej czuję, że żyję. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że zakochałam się w tym wulkanie emocjonalnych dźwięków. Odkąd pamiętam, coś we mnie grało. Po tym, jak Alek sprezentował mi piąty album Metalliki zwany również *The Black Album*, w którym znajdowały się jedne z najpiękniejszych utworów zespołu, nie było

już wyjścia. *Nothing Else Matters* stał się moją inspiracją i sprawił, że zapragnęłam nauczyć się grać na gitarze. Brat nie raz był świadkiem moich występów. No cóż... jako dziesięciolatka byłam po prostu bardzo kreatywna, a moja wyobraźnia nie знаła granic. Tak więc ustawiałam pluszową widownię, budowałam scenę z pościeli i dawałam koncerty. Czasami ponosiło mnie tak bardzo, że dopiero głośne krzyki taty były w stanie przywołać mnie do porządku.

Kiedy miałam dwanaście lat, dostałam pod choinkę swoją pierwszą gitarę. Jeszcze do niedawna myślałam, że był to prezent od rodziców, ale prawda była inna. Okazało się, że to Alek oszczędzał cały rok, by spełnić choć jedno z moich marzeń.

Grana przeze mnie melodia staje się bardziej melancholijna, a ja zanurzam się we wspomnieniach. Nieważne, jak często brat próbuje złagodzić moje poczucie winy, nie jestem w stanie go zignorować. Doskonale wiem, że mój wyjazd do Niemiec tylko pogorszył sytuację w domu, ale równocześnie zdaję sobie sprawę, że gdybym została, po prostu bym się udusiła. Nie jestem tak silna jak Alek, a ucieczka była w tamtym momencie jedynym ratunkiem.

Po moich policzkach spływają łzy, ale nic sobie z nich nie robię. Jak to mówi Lena, dziewczyna brata: „Lepiej wyrzucić z siebie negatywne emocje, niż pozwolić na to, by kiedyś cię pożarły”.

Przygryzam dolną wargę i zaczynam po cichu nucić melodię, która od kilku dni siedzi mi w głowie. Jest smutna, ale jednocześnie ma dziwną moc, taki pazur, ogień. Brakuje tylko odpowiednich słów i przysięgam, że byłby z tego megahicior.

Gram głośniejsze, intensywniej. Moje serce dopasowuje się do wybijanego przeze mnie rytmu. Ciągłe płaczę, ale pod koniec utworu uśmiecham się szeroko, czując nagły spokój i ulgę.

Alek jest szczęśliwy, a nękający jego i moją mamę potwór wreszcie dostał to, na co zasłużył. Moja relacja z bratem znów

jest taka jak dawniej, do tego ogromnie polubiłam Lenę, którą w międzyczasie mogłam śmiało nazywać przyjaciółką. Wszystko zmierza ku dobremu.

Kiedy ostatni dźwięk ucicha, otwieram oczy, a chwilę później dostrzegam czarną chmurę dymu unoszącą się nad przeciwnym blokiem. Dopiero teraz dochodzą do mnie spanikowane głosy wybiegających na zewnątrz ludzi. Przełykam nerwowo ślinę, odkładam gitarę i podchodzę do barierki, by móc się lepiej przyjrzeć. Wszystko wskazuje na to, że w sąsiednim budynku wybuchł pożar. W następnym momencie słyszę wycie syren. Kilka wozów strażackich dociera na miejsce wypadku, a ubrani w specjalne bładozłote uniformy mężczyźni pośpiesznie rozwijają węże. Kilku z nich wchodzi do płonącego domu, co oznacza, że nie wszyscy mieszkańcy zdążyli się uratować.

Zasłaniam usta dłońmi. W tym bloku mieszka Sophi, perkusistka naszego zespołu i moja wspaniała kumpela. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby coś jej się stało.

Zrywam się z miejsca i wbiegam do mieszkania. Sięgam po leżącą na kanapie komórkę i bezzwłocznie dzwonię do Sophi. Niepokój rośnie we mnie z każdym sygnałem. Błagam w duchu, żeby w końcu odebrała.

– Nat? – Jej głos jest dla mnie w tym momencie zbawieniem.

– Widziałam dym, pożar... matko... mam nadzieję, że wszyscy są cali i zdrowi... tam jest tylu strażaków... tyle ognia... – gadam bez ładu, nie mogąc się uspokoić.

– Nic mi nie jest, od razu, gdy usłyszałam alarm, wybiegłam na zewnątrz – informuje mnie i choć próbuje zachować zimną krew, czuję, jak bardzo jest przejęta.

– Zaraz do ciebie przyjdę! – Postanawiam i od razu kieruję się ku wyjściu.

Na zewnątrz jest ciągle ciepło, ale powoli zaczyna się ściemniać. Zbliża się koniec czerwca, więc słońce zachodzi dopiero po dwudziestej pierwszej. Z telefonem przy uchu, rozglądam

się w poszukiwaniu Sophi. Z tego, co powiedziała, powinna być gdzieś tutaj, przy karetkach pogotowia.

– Widzę cię! – komunikuje, po czym się rozłącza.

Kilka sekund później dostrzegam ją, przeciskającą się przez tłum gapiów. Rzeczywiście nie wygląda na to, by coś jej się stało, pytanie, czy jej mieszkaniu również. Dopiero co się urządziła, a tu taka katastrofa. Od razu biorę ją w ramiona i mocno ściskam.

– Uduśisz mnie! – mówi piskliwym głosem, jakbym faktycznie miała ją zaraz zmiażdżyć.

– Wiesz, jak do tego doszło? – pytam, spoglądając w stronę zabezpieczonego terenu.

Strażacy nadal dogaszają pożar, a grupa, która wcześniej wbiegła do budynku, właśnie go opuszcza. Pierwsi wychodzą ratownicy medyczni niosący kogoś na noszach, zaraz po nich idą pozostali. Jeden ze strażaków ma na rękach nieprzytomną dziewczynkę.

– To córka Schneiderów. – Moja przyjaciółka rozpoznaje dziecko. – Ona żyje, prawda? W przeciwnym razie nie zakładaliby jej maski tlenowej. Mam rację, prawda? – pyta złęknioma.

Nie odpowiadam jej. Po części także jestem w szoku. Czuję się taka bezradna, mogę mieć tylko nadzieję, że mała z tego wyjdzie i już niedługo wróci do normalnego życia.

– O mój Boże – szepcze Sophi. – To jeden ze strażaków.

Kieruję moją uwagę na poparzonego mężczyznę na noszach. Jego kończyny drżą, nawet sobie nie wyobrażam, jak silny ból musi mu teraz doskwierać. Zgromadzeni wokół miejsca zdarzenia ludzie snują przypuszczenia, ale nikt nie jest pewny, co wydarzyło się w budynku.

– Straszne. – Moja przyjaciółka łapie mnie za rękę.

– Słyszałem, że to przez wybuch butli gazowej w kuchence – odzywa się jeden z mieszkańców.

– Tak, tak – potwierdza drugi. – Jeden ze strażaków coś o tym mówił. Podobno walnęło prosto w tego biedaka.

– A wiecie, że on, mimo poparzeń, pytał ciągle o tę dziewczynkę? – Do dyskusji dołącza starsza kobieta, trzymająca w ramionach małego, długowłosego psiaka. – Stałam o tam – pokazuje na wejście do bloku – kiedy go wynosili. Słyszałam dokładnie, jak próbował uzyskać od ratowników informacje o małej Anice. Ale mi go żal. Taki młody chłopak, miał przed sobą całe życie, a teraz...

– Ale przecież on ciągle żyje – wychodzi ze mnie niespodziewanie.

– Co to za życie – stwierdza stojący po mojej prawej stronie mężczyzna. – Może byłoby dla niego lepiej, gdyby...

– Niech pan lepiej nie kończy – syczę przez zaciśnięte zęby, starając się powściągnąć mój temperament.

– Chodź, idziemy stąd. – Sophi od razu interweniuje. Za dobrze mnie zna i wie, że nie trzeba wiele, bym przeobraziła się w prawdziwą furię. – Pokaż mi, gdzie będę dzisiaj spała.

– A co z twoimi rzeczami?

– Najważniejsze dokumenty mam przy sobie. Wiesz, że trzymam je zawsze w portfelu w torebce, która wisi na wieszaku przy wejściu. Mieszkanie jest ubezpieczone, będzie dobrze – oświadczam, a ja podziwiam ją za zachowanie spokoju.

– W porządku, chodźmy więc. Zrobię nam gorącą herbatę.

– Herbatę to se możesz wsadzić... potrzebujemy zdecydowanie czegoś mocniejszego!

ROZDZIAŁ 2

REINER

Dwa tygodnie później

Mozolnie otwieram oczy. Czuję charakterystyczny zapach szpitalnej izby i woń środków dezynfekcyjnych. W tle słyszę czyjeś głosy i pikanie aparatury. Przełykam ślinę, boli mnie gardło. Mam wrażenie, że łóżko, w którym leżę, jest poruszane przez morskie fale łódką. Nabieram powietrza przez nos, po czym wypuszczam ustami. Kiedy przejeżdżam językiem po wargach, czuję, że są suche i popękane.

– Co się stało? – bełkoczę niewyraźnie. Nie poznaję własnego głosu, jest ledwo słyszalnym szelestem.

– Znajduje się pan w Państwowej Klinice w Tuttingen, na Oddziale Chirurgii Rekonstrukcyjnej i Leczenia Oparzeń. Nazywam się doktor Matthias Storz. Przywieziono pana do nas w bardzo złym stanie – zaczyna wyjaśniać lekarz. – Musieliśmy wprowadzić pana w stan śpiączki farmakologicznej, z której właśnie pana wybudziliśmy. Poparzenia drugiego i trzeciego stopnia obejmowały ponad czterdzieści procent ciała. Usunęliśmy operacyjnie martwicze tkanki, wykonaliśmy przeszczep skóry, który zamknął oczyszczone rany, zastosowaliśmy



antybiotyki i środki przeciwbakteryjne. Rany są przemywane solą fizjologiczną. Miał pan dużo szczęścia – oświadcza, a ja mam ochotę zaśmiać mu się prosto w twarz.

Z obawą unoszę prawą rękę, by móc przyjrzeć się skaleczeniu. Wygląda paskudnie, ale dzięki pompowanym we mnie prochom nie odczuwam bólu, a jedynie dyskomfort. Opatrunek jest cieniutki, tak że widać czerwony i bordowy odcień skóry. Zastanawiam się, gdzie jeszcze dotarł ogień. Odkrywam kołdrę, rejestrując kolejne skutki pożaru.

– To opatrunki ze skóry allogenicznej – tłumaczy Storz, pokazując na moją lewą nogę, okolice brzucha, żeber i klatki piersiowej. – Pańscy koledzy uratowali panu życie. Oparzenia trzeciego stopnia obejmują nie tylko skórę, ale także naczynia i nerwy. Tego typu zmiany są dość głębokie, dlatego blizny są bardzo widoczne. Ale niech się pan nie martwi, świeże rany poddaliśmy natychmiastowemu leczeniu. Proces gojenia jest przewlekły... – Przerzywa na moment i chyba czeka, aż się odezwę, zareaguję w jakiś sposób na jego słowa, ale ja ciągle milczę, przytakuując tylko co jakiś czas ruchem głowy. – W pierwszej fazie pozostaje czerwony ślad po oparzeniu, w kolejnej, kiedy uszkodzone tkanki się goją, biała blizna. Codzienna pielęgnacja jest niezwykle ważna. Należy nawilżać i natłuszczać skórę oraz regularnie zmieniać opatrunki. Można także wykorzystywać żele i kremy silikonowe, które zatrzymują wilgoć i stwarzają odpowiednie warunki do gojenia. W pełni wygojone blizny można także usuwać laserowo lub chirurgicznie. W każdym razie po zabiegach operacyjnych został pan przeniesiony na oddział rehabilitacji. Procedury, które zaraz panu przedstawię, będą wykonywane dwa razy na dobę w cyklu trwającym...

– Kiedy będę mógł wrócić do służby? – wchodzi mu w zdanie. Teraz właśnie to jest dla mnie najważniejsze. I choć czuję w sercu narastającą obawę, trzymam się nadziei, że dostanę optymistyczną prognozę.

– Jak już wspomniałem, trafił pan do nas w bardzo złym stanie...
– Kiedy? – powtarzam zniecierpliwiony.
– Bardzo mi przykro, ale nie jest pan zdolny do służby...
– Nie! – protestuję, mozolnie się unosząc, by móc usiąść na łóżku.

– Proszę nie wstawać, pana organizm potrzebuje odpoczynku...
– Nie! – przerywam mu ponownie i odpycham od siebie, gdy próbuje zmusić mnie, bym się położył. – Wynocha! – Podnoszę głos.

Doktor Storz nie wygląda na zaskoczonego moim wybuchem. Jest wprost przeciwnie, sprawia wrażenie, jakby dokładnie tego się po mnie spodziewał. Pewnie nie jestem pierwszym ani ostatnim pacjentem, któremu jest zmuszony przekazać złe wieści.

– Przyjdę do pana trochę później i wyjaśnię wszystko jeszcze raz. Pańscy koledzy są tutaj codziennie. Zmieniali się, nigdy nie zostawiali pana samego. – Zmienia temat, a ton jego głosu przybiera jeszcze łagodniejszy wydźwięk. – Siedzą w poczekali.

– Nie ma żadnych szans? – pytam zdesperowany. Nie mogę uwierzyć, że to koniec mojej strażackiej kariery. Nie chcę w to wierzyć!

– Doszło u pana do niedrożności dróg oddechowych i ich znacznego obrzęku, potwierdzonego bronchoskopią. Płuca również ucierpiały. Podczas większego wysiłku może mieć pan trudności z oddychaniem.

– Proszę zostawić mnie samego – wchodzę mu w słowo, mówiąc na powrót spokojnym, opanowanym głosem.

– Pańscy koledzy...

– Chcę być sam – stwierdzam kategorycznie.

– Po rehabilitacji będzie pan mógł prowadzić normalne życie. Co prawda blizny pozostaną, ale nie będą już tak widoczne, jak w tej chwili. Ćwiczenia pomogą też w kontroli oddechu, bardzo możliwe, że w przyszłości nie będzie pan musiał używać inhalatora – pociesza mnie.

– Ale do straży pożarnej już nie wrócę.

– Nie, ale...

– Powiedziałem, że chcę zostać sam. Sądziłem, że wyraziłem się jasno. – Przeszywam go morderczym spojrzeniem, co wreszcie skutkuje jego kapitulacją.

Przytakuje kilka razy, po czym wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Nie mija nawet sekunda, gdy dochodzą mnie głosy przyjaciół.

– Co z nim, doktorze? Wybudził się już? Jak się czuje? Możemy do niego wejść? Kiedy będziemy mogli go zabrać do domu? – Jace zasypuje Storza pytaniami.

– Pan Schwarz jest na dobrej drodze w rekonwalescencji, ale aktualnie nie życzy sobie gości. Może będzie lepiej, jeśli...

Nie słyszę dalszych słów, zamiast tego widzę, jak ktoś otwiera drzwi do mojego pokoju. W następnym momencie spostrzegam podirytowaną postać mojego kolegi, a zaraz za nim bezradnie wyglądającego lekarza.

– Jaja sobie robisz? – zaczyna Jace, pokazując na mnie palcem. – Myśleliśmy, że już po tobie! Dniami i nocami modliliśmy się, żeby wszystko skończyło się dobrze, a ty nie chcesz z nami gadać? Reiner, do kurwy nędzy! Jesteśmy rodziną!

I co ja niby mam mu na to odpowiedzieć? Oczywiście, że jestem im wdzięczny za to, że się martwili, że byli przy mnie, gdy leżałem w śpiączce. Gdyby nie oni, prawdopodobnie już by mnie tutaj nie było.

Zaciskam zęby i zdrową ręką dotykam oparzonego policzka. Dopiero teraz dochodzi do mnie, co tak właściwie się wydarzyło. Zostałem ranny podczas akcji ratunkowej. Przypominam sobie wybuch, a później niemiłosierny ból rozprzestrzeniający się po prawie całym moim ciele. Ostrożnie odsuwam hydrożelową maskę i przejeżdżam palcami po zdeformowanej powierzchni. Mój oddech przyspiesza nieznacznie, gdy zjeżdżam opuszkami niżej. Muskam linię szczęki i szyję, po czym formuję dłoń w pięść.

Widząc współczucie w oczach Beckera, odwracam od niego wzrok. Nie podoba mi się sposób, w jaki na mnie patrzy. Jakbym nagle stał się ofiarą losu, bez szans na ponowne stanie się bohaterem. I choć wiem, że nie powinienem mieć mu tego za złe, nie potrafię inaczej. Mam ochotę wykrzyczeć całemu światu, jak bardzo jest on niesprawiedliwy.

– Co z tą małą, która była w budynku? – pytam w końcu, przywołując się do porządku. – Powiedz mi, proszę, że nic jej się nie stało.

Jace wzdycha głośno i zbliża się do mojego łóżka. Bez pytania przysuwa sobie krzesło i siada obok. W tym samym czasie dołącza do nas reszta ekipy: Joshua, Elias, Luka i Scott.

– Dziewczynka została wypisana zaraz na drugi dzień – informuje Becker. – Wybuch jej nie dosięgnął. Miała oparzenia pierwszego i drugiego stopnia obejmujące niewielką część ciała.

Przynajmniej jedna dobra wiadomość, przechodzi mi przez myśl. Kącik moich ust unosi się lekko na ułamek sekundy.

– Niezdolny do dalszej służby – mamroczę pod nosem, patrząc tępo przed siebie. Specjalnie unikam spojrzeń moich braci. Nie mam siły udawać twardziela, który weźmie na klątę nawet najgorsze.

– Zawsze będziesz jednym z nas – odzywa się Weber, który po śmierci rodziców był dla mnie jak ojciec. – Jeśli tylko zechcesz, możesz przychodzić do remizy. Możesz nadal pomagać.

– Nie musisz brać czynnego udziału w akcjach, by być strażakiem – dodaje Luka.

– Dokładnie. – Elias natychmiast przyznaje mu rację. – Strażakiem jest się całe życie.

Mój ospały umysł przypomina sobie kolejne sceny sprzed pożaru. Sam nie wiem, dlaczego nie wspomniałem jeszcze o Mii. To o niej pierwszej powinienem pomyśleć po przebudzeniu, a tymczasem zająłem się czymś zupełnie innym. Jestem pierdolonym egoistą.

– Gdzie jest Mia? – Odważam się zerknąć na Jace’a, ale to, co widzę, w ogóle mi się nie podoba.

Moi przyjaciele wymieniają się porozumiewawczymi spojrzeniami, następnie skupiają całą uwagę na mnie.

– Co z nią? – pytam, powoli wpadając w panikę i czując, jak serce szaleńczo bije mi w piersi.

– Odeszła – wydusza z siebie Becker.

– Nie rozumiem. – Marszczę brwi, przyglądając się mu uważnie, ale nie jestem w stanie odczytać jego myśli.

– Suka – dochodzi mnie głos Eliasa.

– Coś ty, kurwa, powiedział? – Z trudem się powstrzymuję, by nie wstać i nie obić mu gęby.

– Powiadomiliśmy ją o twoim stanie od razu, jak przywieziono cię do szpitala – odzywa się Scott. – Gdy cię zobaczyła, leżącego w śpiączce, podpiętego do aparatury...

– Nie chciała nas słuchać – włącza się Joshua. – Mówiliśmy, że wkrótce cię wybudzą, ale do niej nic nie docierało. Stwierdziła, że nie da rady i po prostu odeszła. – Parska z pogardą.

Szttywnieję, a w gardle czuję coraz większy ucisk. Odbieram mi mowę, ale nawet gdybym mógł, nie wiedziałbym, co powiedzieć. Jestem w szoku. Przecież Mia mnie kocha, nie zostawiła by mnie! Chłopaki musiały coś źle zrozumieć. To niemożliwe, że kobieta, którą chciałem poślubić, przekreśliła nasz związek, nie zamieniając ze mną ani słowa. Nie wierzę...

– Dlaczego miałyby odejść? – szepczę, dziwnie oderwany od rzeczywistości.

– Reiner – zaczyna Jace. – Ona nie była ciebie warta.

– Pierdolisz głupoty! – krzyczę, dając się ponieść nerwom. – Ona taka nie jest! Nie zostawiłaby mnie tylko dlatego, że... – Przerrywam, ponownie dotykając poparzonej części twarzy. – Dajcie mi lusterko.

– Lekarz powiedział, że nie wolno ci odsłaniać opatrunku. Te blizny z czasem zbledną i nie będą tak widoczne...

– Lusterko! – nalegam ostrzej, przerywając Scottowi.

Becker wyjmując z kieszeni džinsów komórkę, włącza przednią kamerę, bym mógł się zobaczyć, po czym wręcza mi aparat, wyglądając tak, jakby miał zaraz zemdleć.

Czuję narastający niepokój i strach. Nigdy nie przywiązywałem dużej wagi do swojego wyglądu. Jestem świadomy tego, że podobam, a raczej podobałem się kobietom. Mia twierdziła nawet, że mógłbym pracować jako model i pewnie zarobiłbym o wiele więcej, nie narażając przy tym swojego życia. Dla Rudej moja robota od zawsze była pewnego rodzaju przeszkodą. Tak właściwie większość naszych kłótni dotyczyła straży pożarnej. I nie chodzi wyłącznie o ryzyko wiążące się z tą fuchą, ale także o moje zaangażowanie. Nie potrafię zliczyć, ile razy prosiła mnie, bym rzucił BF, ale ja nie mogłem na to przystać. Nawet teraz, po tym, co mnie spotkało, niczego nie żałuję. Gdyby cofnąć czas, ponownie wszedłbym do płonącego budynku.

Zwilżam usta końcem języka, po czym kieruję ekran komórki na swoją twarz. Powoli zdejmuję wilgotną maskę. W milczeniu przyglądam się gładkiej skórze po prawej stronie, a później przenoszę spojrzenie na lewą. Czerwone, oszpecające blizny pokrywają niemal cały policzek, skroń, część szczęki i szyi. Nieraz widziałem skutki poparzeń i wiem, że mój przypadek wcale nie jest najgorszy, mimo to nie potrafię się cieszyć na swój widok.

– Wszystko w porządku? – Jace kładzie mi rękę na ramieniu, a moja dłoń trzymająca komórkę drży ledwo zauważalnie. – Będzie lepiej. Doktor Storz powiedział, że...

– Wiem – wtrącam się, oddając smartfon i zakładam opatrunek z powrotem na twarz. – Gdzie są moje rzeczy? Muszę do niej zadzwonić, wyjaśnić... zapytać, dlaczego...

– Powinieneś odpoczywać – oświadcza Elias. – To chyba jasne, dlaczego zwiła. Nigdy jej nie lubilem. Pieprzona panusia z wyższych sfer.

– Wyjdź – mówię, zanim zdążę to przemyśleć.

Mayer patrzy na mnie przez chwilę, jakby szukał w moich oczach potwierdzenia wypowiedzianych słów. W końcu wzrusza ramionami, kręci głową i opuszcza pokój.

– Załatwię to – komunikuje Joshua, po czym również wychodzi na korytarz.

– Nie miej mu tego za złe – odzywa się Jace. – Martwi się o ciebie, jak my wszyscy. A Mia... ona po prostu wyszła ze szpitala, nie słuchając żadnego z nas. Szczerze mówiąc, ja także jestem na nią wściekły.

– Jeśli rzeczywiście nie chce mieć ze mną do czynienia, niech mi to powie – oświadczam stanowczo. – Nie będę jej błagał, licząc na litość. Nie o to chodzi. Znamie mnie. – Przejeżdżam wzrokiem po moich braciach. – Chcę mieć pewność. Nie mogę wymazać jej z pamięci, nie znając całej prawdy. Byliśmy ze sobą od lat i zawsze znajdowaliśmy sposób, by wyjść cało z tarapatów. Zależy mi na niej.

– Zrobisz, jak uważasz – mówi Scott, a Luka tylko kiwa zgodnie głową. – To twoje życie, twój wybór. Pamiętaj jednak, że masz nas. Jesteśmy twoją rodziną i jeśli tylko będziesz potrzebować pomocy...

– Dzięki. – Uśmiecham się lekko.

– Zajrzymy do ciebie jutro. Trzymaj się, Reiner.

Weber i Fisher ściskają moją dłoń na pożegnanie i zostawiają mnie w sali z Beckerem, który wstaje, zbliża się do szafki i wyjmuję z niej moją komórkę.

– W razie czego, dzwoń. – Podaje mi telefon, następnie opuszcza pokój.



Wybieram numer Mii i przystawiam słuchawkę do ucha. Pierwszy sygnał... drugi... trzeci. Z każdym kolejnym coraz mocniej się spinam. Tak bardzo pragnę usłyszeć jej głos. Niech wreszcie odbierze i wyjaśni, że moi przyjaciele źle zinterpretowali jej zachowanie. Niech mnie zapewni, że między nami jest wszystko w porządku. Potrzebuję jej, cholera, naprawdę jej teraz potrzebuję... ale ona milczy. Nie poddaję się i dzwonię znowu. Przecież nie chcę jej do niczego zmuszać! Domagam się jedynie wyjaśnień. Czy to tak wiele?

Kiedy Mia nie reaguje na dwudziestą piątą próbę połączenia się z nią, odkładam telefon na stolik i klnę pod nosem, zaciskając dłoń w pięści. Poraniona ręka zaczyna od razu boleć, więc staram się rozluźnić, co wcale nie przychodzi mi z łatwością. Jestem wkurwiony i jedyne, o czym teraz marzę, to przypierdolenie komuś w ryj. Muszę odreagować, pozbyć się tego natłoku emocji. Nie dam rady tkwić tutaj, przykutą do łóżka. Zwariuję, jeśli zaraz czegoś nie zrobię.

Wibrujący smartfon wyrывa mnie z rozmyślań, a serce w jednej chwili podchodzi mi do gardła. Odbieram bez wahania, a całe przemówienie, które jeszcze przed chwilą miałem w głowie, nagle znika, pozostawiając pustkę.

– Reiner. – Sposób, w jaki Mia wypowiada moje imię, nie zwiastuje niczego dobrego. – Jak się czujesz? – pyta, na co mam ochotę parsknąć śmiechem.

– Poważnie? Od tego chcesz zacząć naszą rozmowę? – Nie mogę nic na to poradzić, słowa same wylatują mi z ust. – Gdzie jesteś? Chłopaki twierdzą, że uciekłeś po tym, jak mnie zobaczyłaś.

– Myślałam, że cię straciłam. Mało co nie pękło mi serce, gdy otrzymałam wiadomość od Scotta. Doskonale wiesz, że za każdym razem, gdy jedziesz na akcję, umieram z nerwów. Za każdym razem! – podkreśla. – Jak często już prosiłam cię, byś rzucił tę robotę?

– Przestań, doskonale wiesz, jak bardzo jestem związany ze strażą...

– I co ci to przywiązanie przyniosło? Ledwo uszedłeś z życiem! Nie mogę dłużej, rozumiesz? Nie chodzi o to, że jesteś ranny, nie obchodzi mnie twoje blizny. Wiesz, że nigdy nie zostawiłabym cię z tak błahego powodu.

– Wiem – mamrocze tak cicho, że nie jestem pewien, czy ona w ogóle mnie słyszy.

– Pewnie tylko potwierdzisz moje przypuszczenia, ale muszę zadać ci to pytanie. Gdybyś miał taką możliwość, wróciłbyś do służby?

Zamykam oczy, a moja broda drży niekontrolowanie. Chce mi się płakać, ale nie ronię ani jednej łzy. Gardzę kłamcami i nigdy nie stanę się jednym z nich. Kiedyś przysiągłem sobie, że choćby nie wiem, jak gorzkie byłyby konsekwencje, zawsze będę trzymał się prawdy. Mia doskonale zdaje sobie z tego sprawę, a ja zaczynam rozumieć jej decyzję, co nie oznacza, że jestem w stanie ją zaakceptować.

– Lekarz stwierdził, że nie jestem zdolny do służby...

– Nie o to pytałam – wtrąca zrezygnowana. Słyszę, że płacze, choć chce to za wszelką cenę ukryć.

– Tak – szepczę, ściskając mocniej komórkę. – Jeśli istniałaby taka możliwość, wróciłbym.

– No to masz swoją odpowiedź – oświadcza posępnie.

– Myślałem, że mnie kochasz. – Chwytam się ostatniej deski ratunku, jednocześnie się za to nienawidząc.

– Bo tak jest, Reiner. Kocham cię, ale nie jestem wystarczająco silna, by móc być przy tobie. Próbowałam, starałam się, jednak to nie wystarczy. Nie chcę żyć w ciągłym strachu. Zaslugujesz na kogoś, kto cię zrozumie i pokocha takim, jakim jesteś. Zapomnij o mnie i skup się na sobie. Wróć do zdrowia.

Czuję ucisk w gardle, jak gdyby w przełyku utkwił mi kamień. Gula zdaje się rosnąć w zatrważającym tempie i po chwili

nie mogę nawet przełknąć śliny. Z trudem nabieram powietrza, wątpię, czy kiedykolwiek będę jeszcze potrafił odetchnąć pełną piersią.

– To koniec? – pytam resztką sił.

– Potrzebuję czasu, ale nie chcę ci niczego obiecać. Nie czekaj na mnie, proszę. Nie dzwoń ani nie wysyłaj mi wiadomości.

– Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz – wyduszam z siebie.

– Ty również – odpowiada, po czym się rozłącza, a ja nie potrafiąc dłużej zachować spokoju, rzucam komórką o przeciwną ścianę z takim impetem, że raczej nie będzie już użyteczna.

NATALIA

Wychodzę z łazienki i prezentuję się leżącej na kanapie Sophi. Dziewczyna porusza znacząco brwiami, ładując do ust całą garść popcornu. Od pożaru minęły dwa tygodnie, ale mieszkanie mojej przyjaciółki nie nadaje się do użytku. Potrzebny jest remont. Całe szczęście większość ważnych rzeczy takich jak dokumenty i laptop udało się ocalić, jednak niektóre meble są całkowicie zniszczone, a ściany pokryte sadzą. Do tego od trzeciego piętra w dół wszystko zostało zalane w wyniku gaszenia. Sophi chciała poszukać sobie tymczasowego lokum, więc od razu zaproponowałam jej, by przeprowadziła się na ten czas do mnie. Nie musiałam jej długo przekonywać, zgodziła się niemal natychmiast, ale pod warunkiem, że będzie pokrywać połowę czynszu.

– Jak wyglądam? – pytam, obracając się wokół własnej osi.

Mam na sobie czarną kusą sukienkę, perfekcyjnie podkreślającą moje kształty. Kiedy kilka dni temu zauważyłam ją na sklepowym manekinie, wiedziałam, że będzie do mnie idealnie

pasować. Prosta, elegancka i z pazurem. Do tego wysokie szpilki, których po prostu nie mogę sobie odmówić. Nieważne, że w tych butach przewyższam mojego faceta prawie o głowę, liczy się wyłącznie fakt, że czuję się w nich dobrze. Do tego złota biżuteria i kopertówka tego samego koloru. Włosy jak zwykle mam rozpuszczone, a ich końce delikatnie pofalowane. Jasne kosmyki z pastelowo różowymi pasmami opadają mi na plecy, muskając końcówkami mój tyłek.

– No gadaj! – ponagliam ją zniecierpliwiona. – Myślisz, że mu się spodoba?

Theo ma dzisiaj urodziny, więc należy mu się prezent, a co niby mogłoby ucieszyć go bardziej niż ja w nowusieńkiej, superseksownej bieliźnie skrywającej się pod kiecką? Jesteśmy ze sobą od ponad siedmiu miesięcy i choć miewamy cięższe dni, świetnie sobie radzimy jako para. Co prawda dziewczyny z Wahnsinn³, zespołu, w którym gram i śpiewam, nie przepadają za nim i często stroją sobie z niego żarty, ale ja myślę, że dobrze do siebie pasujemy. Theo jest po prostu... jakby to ująć... mniej zwariowany? Ma poważną pracę, jeszcze poważniejszych rodzi-
ców i, o zgrozo, słucha techno.

– Jeśli chodziło ci o to, by wystrzelił jeszcze przed grą wstęp-
ną, to jesteś na dobrej drodze – podsumowuje Sophi, mierząc mnie spojrzeniem od góry do dołu i z powrotem. – Sama bym cię bzyknęła, gdyby nie fakt, że należysz do ekipy.

Kręcę głową z dezaprobatą, ale nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Kiedy zakładałyśmy zespół, przysięgłyśmy sobie, że seks między jego członkiniami i ich partnerami jest zabroniony.

– Pamiętaj tylko, że w sobotę mamy występ – przypomina mi, wrzucając do ust kolejną porcję prażonej kukurydzy.

– Jasne, nie musisz się o to martwić. Nie mogę się doczekać, jak publika zareaguje na nowy kawałek.

³ *Wahnsinn* (z niem.) – Szaleństwo.

– Jest zajebisty – stwierdza, a ja od razu jej przytakuję.

Wreszcie udało mi się napisać słowa do melodii, która siedziała mi w głowie już dobre kilka tygodni. Okazało się, że potrzebowałam czasu, by dojrzeć i pozwolić sobie na podzielenie się częścią mojej historii. Osobiste kawałki są zwykle największymi hitami, a tym razem odważyłam się zawrzeć w tekście i przeprosiny, i podziękowania. Za każdą sekundę, w której Alek musiał samodzielnie walczyć z demonami. Za każdą odniesioną przez niego ranę. Gdyby nie mój brat, nie wiadomo, czy nadal bym żyła. W najgorszych koszmarach widzę, jak ojciec katuje matkę, później dobiera się do mnie, ale – inaczej niż w rzeczywistości – nikt nie staje mu na drodze.

– Nat? – Głos Sophi wrywa mnie z zamyślenia. – Znowu gdzieś odleciałaś. Wszystko gra?

– Żałuję trochę, że Alek z Leną nie mogą przyjechać – mówię, dzieląc się z nią tylko półprawdą.

Dziewczyny z ekipy jako jedyne wiedzą o mojej przeszłości. Theo nie zna całej historii, wie, że wyjechałam z Polski w dniu swoich osiemnastych urodzin i od tej pory nie kontaktowałam się z bratem i babcią. Kiedy kilka miesięcy temu dowiedziałam się o śmierci matki i wreszcie porozmawiałam szczerze z Alkiem, wyznałam mojemu facetowi powód ucieczki z domu. W przeciwieństwie do Wahnsinn, on nie ma pojęcia, że nie mogę poradzić sobie z wyrzutami sumienia.

– Nie dziwię się, twój brat jest sławny i w sumie to się mu należy. Robi mega tatuaże! – zachwyca się Sophi. – Następnym razem, jak będziesz do niego jechać, wepchnę ci się do auta i nie wrócę do Niemiec, dopóki twój zdolny braciszek mnie nie wydziara.

Odkąd Mariusz Fraszewski napisał artykuł o Alku, jego kariera ruszyła z kopyta. InkTime jest bardzo znanym i cenionym magazynem, więc zamieszczone w nim pochwały skutecznie rozpowszechniły salon brata w Katowicach. Klienci przyjeżdżają

nawet zza granicy, a terminy trzeba zaklepywać co najmniej kilka miesięcy naprzód.

– Masz to jak w banku – obiecuję jej. – Ale z tego, co ostatnio gadał, wynika, że to on odwiedzi mnie wcześniej.

– Serio? Kiedy?

– Ma przyjechać z Leną na moje urodziny.

– Uuu, szykuje się imprezka, wiesz już, na ile zostaną?

– Chyba tylko na tydzień, ale ja mam zamiar wybrać się do Polski w grudniu na święta.

– Sama bym się tam chętnie wybrała. Poza tym te pyszności, które ostatnio przywozłaś, były obłędne.

– Zasługa mojej omi. – Szczęrze się i ślinka mi cieknie na samą myśl o makówce i moczce.

Zeszłoroczne Święta Bożego Narodzenia były pierwszymi od lat spędzonymi wśród rodziny. Pamiętam, że kiedy o północy byliśmy na Pasterce, płakałam jak bóbr, taka byłam szczęśliwa. Obiecaliśmy sobie wtedy, ja i Alek, że choćby nie wiem, co się działo, zawsze będziemy świętować Wigilię razem.

– Dobra, muszę już lecieć – mówię, zerkając na zegarek. – Theo już pewnie na mnie czeka.

– Ja nie wiem, co ty w nim widzisz, dziewczyno. – Sophi przewraca oczami, jak prawie za każdym razem, gdy wypowiadam imię mojego mężczyzny.

– On nie ma się podobać tobie, tylko mnie. Poza tym jest miły...

– Troskliwy misio od siedmiu boleści.

– Lepszy troskliwy misio niż gburowaty kutas.

– Obyś się tylko nie zanudziła z tym twoim chodzącym ideałem na śmierć.

Już chcę powiedzieć, że do ideału to mu jeszcze bardzo daleko, ale w porę się od tego powstrzymuję, zdając sobie sprawę, że tylko dolałabym oliwy do ognia. Prawda jest taka, że Theo ma swoje wady, ale przecież nikt nie jest perfekcyjny. Wiem, że mu na mnie zależy, czasami nawet za bardzo. Nie należę do

poukładanych, spokojnych dziewczynek. Lubię się zabawić, zaszaleć, rozkoszować się życiem. On natomiast woli spokój, nie przepada za niespodziankami, a słowo „spontan” jest mu zupełnie obce. Czasami myślę, że to dobrze, w końcu przeciwności się przyciągają i uzupełniają, ale miewam także chwile zwątpienia. Poza tym dochodzi jeszcze jego chorobliwa zazdrość i właśnie ona jest głównym powodem naszych sprzeczek.

– Zostaniesz u niego na noc, prawda? – pyta moja przyjaciółka, łapiąc pilot od telewizora, następnie włącza ekran i zaczyna przeszukiwać netfliksowe propozycje.

– Wrócę jutro przed dwunastą i nie pogardzę ciepłym obiedem. – Uśmiecham się do niej, teatralnie trzepocząc rękami.

– To twoja kolej gotowania!

– Też cię kocham – wyznaję, posyłając jej całusa.

– Spływaj już, gadzino przebrzydła, i wiedz, że gary ci zostawię do pozmywania. Za karę!



Jazda do Donaueschingen zajmuje mi około pół godziny. Może gdybym miała lepszy samochód, byłoby szybciej, ale aktualnie nie mogę sobie pozwolić na kupno auta moich marzeń. Kochana omi zwykła mawiać, że ford gównowort, ale mój jakoś daje radę.

Theo mieszka w pięknym domu na obrzeżach miasta. Jego rodzice prowadzą cieszącą się uznaniem kancelarię adwokacką i brak pieniędzy nigdy im nie doskwierał. Kiedy ich syn skończył dwadzieścia lat, podarowali mu tę nieruchomość, jakby to była drobnostka.

Parkuję samochód na brukowanym wjeździe, gaszę silnik i zerkam w lusterko. Poprawiam czerwoną pomadkę na ustach, następnie wychodzę i ruszam ku wejściu. Mimo tego, że mam klucz, zatrzymuję się przed drzwiami i dzwonię. Nie muszę długo czekać, Theo otwiera zaledwie po kilku sekundach, ale jego mina nie zwiastuje niczego dobrego.

– Hej? – witam się pytającym tonem, a on tylko mamrocze coś pod nosem, wpuszczając mnie do środka. – Widzę, że aż cię rozsadza z radości na mój widok. Wstałeś dziś lewą nogą, czy co? – Próbuję podejść go sarkazmem.

– Naprawdę musisz mnie o to pytać? – odzywa się wreszcie pełnym pretensji tonem, a kiedy wchodzimy do salonu, skinieniem głowy pokazuje dużą, szarą rogówkę.

Zajmuję miejsce, czekając ciągle na jego wyjaśnienia. Theo siada obok, wzdycha głośno i sięga po leżącą na niskim stoliku komórkę. Zaczyna czegoś szukać, a kiedy to znajduje, wręcza mi smartfon, wydając z siebie tak dobrze znany mi dźwięk zapowiadający kolejną bezsensowną kłótnię.

– Możesz mi powiedzieć, co to ma być? – pyta z wyrzutem.

– Zdjęcie – odpowiadam. I choć doskonale wiem, że tylko go tym bardziej wkurzę, nie mogę się powstrzymać.

– Dla ciebie to śmieszne?

– Theo, proszę cię, nie zaczynaj znowu. Ile razy mam ci tłumaczyć, że to tylko wygłupy. Taka już jestem...

– Koleś ciągle się do ciebie klei, a jak mnie nie ma w pobliżu, to już w ogóle sobie pozwala. Przyjaciele się nie całują i nie obmacują!

– Zwariowałaś? – Podnoszę głos. Jestem wstrząśnięta jego słowami, a przecież nie powinno mnie to już dziwić.

To nie pierwszy raz, kiedy Theo jest zazdrosny o moich kumpli. W zeszłym miesiącu zrobił mi scenę, bo Sophi złapała mnie za biust. Tydzień się do mnie nie odzywał i dopiero po wyjaśnieniu mojej przyjaciółki, że to nic nie znaczyło, dał za wygraną.

- Skąd ty w ogóle masz to zdjęcie?
- Nie zmieniaj tematu!
- Ben to mój kolega, nigdy nie łączyło nas nic więcej. Gościu chodzi z Lottie. A tutaj – pokazuję na ekran telefonu – to nie pocałunek tylko buziak. I nie mam pojęcia, co masz na myśli, mówiąc o macaniu.
- Trzyma ci rękę na kolanie! – syczy, przeszywając mnie złowrogim spojrzeniem.
- Nienawidzę, gdy to robisz – mówię spokojnie, choć w środku cała buzuje od emocji. – Przesadzasz i to grubo. Awanturujesz się o pierdoły, zamiast skupić się na tym, co mamy. Serio sądzisz, że mogłabym cię zdradzić? Masz mnie za jakąś wyrachowaną, zimną sukę? Nigdy cię nie okłamałam, a ty nieustannie mi to zarzucasz. Wiesz, jak bardzo boli mnie to, że nie masz do mnie za grosz zaufania? Nie na tym polega miłość.
- Na zaufanie trzeba sobie zasłużyć – mamrocze, a jego słowa sprawiają, że tracę cierpliwość.
- Dlaczego ze mną jesteś? – pytam podirytowana.
- Kocham cię – wyznaje natychmiast.
- Kochasz mnie czy swoje wyobrażenie o mnie?
- Nat. – Wyciąga do mnie rękę, głaszcze po policzku, kciukiem delikatnie dotyka moich ust.
- Nie jestem stworzona do życia w klatce – szepczę, czując, jak moje serce robi się coraz cięzsze.
- Dla ciebie nasz związek jest klatką?
- Czasami tak – oświadczam szczerze. – Boję się, że nigdy nie będziesz w stanie mi zaufać. Mylę się?
- Odwraca wzrok, co jest wystarczającą odpowiedzią. Zaraz westchnie, a potem wpije się w moje usta i jak zwykle skończy się na dzikim seksie. Jeśli natychmiast nie ruszę tyłka, nie będę w stanie się mu oprzeć. Obiecałam sobie, że jeszcze jedna scena zazdrości i to zakończę. Jego zachowanie za bardzo przypomina mi to, co robił ojciec.

Zaciskam zęby i z walącym szaleńczo sercem stoję na trzęsących się nogach. Łzy cisną mi się do oczu, mrugam kilka razy, by nie uronić ani jednej. Płacz tylko wszystko pogorszy.

– Zróbmy sobie przerwę – wychodzi ze mnie. – Oboje tego potrzebujemy.

– Skarbie...

Zanim Theo zdąży się podnieść i wziąć mnie w ramiona, szybkim krokiem ruszam w stronę wyjścia.

ROZDZIAŁ 3

REINER

Dziewięć miesięcy później

Owijam dłonie bandażami i wkładam rękawice oraz ochraniacze na nogi i piszczele. Jestem świeżo po rozgrzewce. Podchodzę do ciężkiego worka treningowego i wymierzam pierwszy cios. Zaczynam powoli, ale szybko się rozkręcam. Po kilkunastu minutach metodycznie grzmocę worek szybką sekwencją ciosów prostych, sierpowych i w korpus. Po każdym uderzeniu wypchana torba podskakuje na mocującym ją łańcuchu, który podzwania głośno w rytm ciosów. Nie daję z siebie wszystkiego, choć bardzo mnie kusi, bo tylko gdy jestem na granicy, potrafię odciąć się od przeszłości. Co kilka sekund przerywam kombinację i zmieniam swoje ustawienie, by wór nie uciekał poza mój zasięg.

Czuję, że złość i frustracja powoli ze mnie uchodzą, jednak jestem świadomy tego, że najpóźniej jutro znów stanę się chodzącą bombą, gotową w każdej chwili wybuchnąć. Blizny pokrywające niemal połowę mojego ciała codziennie przypominają mi, jak wiele straciłem. Jedno zdarzenie odebrało mi nie tylko ukochaną kobietę, ale także pracę, będącą równocześnie moją



największą pasją. Brakuje mi udziału w akcjach. Przyjaciele ze straży robią, co mogą, by mnie wesprzeć, jednak doskonale wiedzą, że stwierdzenie u mnie niezdolności do dalszej służby odebrało mi część siebie.

Przez pierwszych kilka tygodni nie byłem sobie w stanie poradzić z kotłującymi się we mnie emocjami. Odseparowałem się od bliskich, przestałem reagować na ich wiadomości, nie otwierałem drzwi, gdy dobijali się do mojego mieszkania. W jednej chwili tonąłem w smutku, a w drugiej zżerała mnie nienawiść. Prawie w ogóle nie spałem. Za każdym razem, gdy zmrużyłem oczy, czułem wgrzyżający się we mnie ogień. Budziłem się z krzykiem, cały zlany potem. A później uświadamiałem sobie, że jedyną osobą, którą zgodziłbym się do siebie dopuścić, była Mia. Nie rozmawiałem nawet z moimi rehabilitantami. Kiwałem tylko głową, posłusznie wykonując ich polecenia. Stałem się nieustannie nabuzowanym, chodzącym trupem.

Jestem tak skupiony na uderzaniu, że nawet nie zauważam podchodzącego do mnie Jace'a. Dopiero gdy staje za ciężkim workiem i go przytrzymuje, przerywam na kilka sekund, witając się z nim skinieniem głowy. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie on. Podziwiam jego cierpliwość wobec mnie i mojego zachowania. Potrafię być naprawdę irytujący i sam często mam ochotę wałnąć się prosto w dziób. Jace jednak jakimś pieprzonym cudem wytrzymał ze mną najgorszy okres i wspiera mnie do dziś. Nie ma lepszego niż on.

– Nie krępuj się, przecież widzę, że jeszcze daleko do celu – mówi i ma cholerną rację.

Wracam do kombinacji ciosów. Proste są lekkie, ale za każdym razem, gdy zabieram się do prawego sierpowego lub haka, wkładam w nie cały swój ciężar. Siła uderzeń przenosi się przez worek, zmuszając mojego przyjaciela do rozstawienia nóg i opuszczenia środka ciężkości, żeby nie stracił równowagi.

Wiem, że jestem szybki i silny, stoję pewnie na nogach, a moja garda jest perfekcyjnie trzymana. Zwiększam tempo i utrzymuję intensywny rytm przez kolejnych kilka minut. Zmieniam postawy pomiędzy seriami i uważam na to, by kontrolować oddech. Gdy czuję, że zaczynam dyszeć, cofam się i pochylam, opierając rękawicami o kolana. Muszę oszczędzać płuca. Sport jest dla mnie dobry, a nawet wskazany, ale pod żadnym pozorem nie wolno mi przesadzić. Z początku wszystkie ćwiczenia wykonywałem pod czujnym okiem doświadczonego trenera. Teraz wiem, na co mogę sobie pozwolić i czasami przychodzę do klubu sam, by po prostu się wyżyć.

– Lepiej? – pyta mój przyjaciel, kucając tuż przede mną.

– Powiedzmy – odpowiadam.

Prostuję się, zdejmuję rękawice i ocieram pot z twarzy. Ćwiczenia z workiem są intensywne i wykańczają kondycyjnie, ale dzięki nim jestem w stanie się wyładować i oczyścić z negatywnych emocji.

– Lekarz mówił, żebyś się oszczędzał – przypomina mi Jace. – Rozumiem, że to ci pomaga, ale uważaj, by nie przegiąć.

Blizny po pożarze w międzyczasie zbladły, ale nadal są widoczne. Od szyi w dół jest zdecydowanie większy bajzel, bo właśnie tam ogień wyrządził najwięcej szkód. Dzięki regularnym terapiom mogę poruszać się bez żadnych problemów, ale płuca nie spełniają już wymogów i właśnie one wykluczyły mnie z dalszej służby. Moim nieodłącznym towarzyszem stał się inhalator, którego jestem zmuszony używać przynajmniej raz dziennie.

Miejsca po przeszczepie już dawno się zagoiły. Miałem szczęście, bo mój organizm przyjął nowe kawałki bez żadnych powikłań. Stosuję jedynie specjalne opatrunki z glikokortykosteroidu, a w celu zapobiegania marszczenia oraz falowania się skóry noszę opatrunek uciskowy.

– Nic mi nie jest – sapię, a kiedy czuję, że zaczyna mi brakować powietrza, wydaję z kieszeni sportowych spodenek

inhalator i biorę wziew. – Poza tym doktorek stwierdził, że sport dobrze mi robi.

– Jasne, ale założę się, że gdyby choć raz widział cię w akcji, zmieniłby zdanie. Okładasz ten biedny worek, jakby był twoim największym wrogiem.

– Hej, lepsze to niż zalewanie się wodą. Już zapomniałeś, czy to był pomysł?

– Ja nie wiem, nie lepiej by było, jakbyś się wyżył artystycznie czy coś? Weź zacznij na przykład malować. Może będzie z ciebie drugi Picasso?

– A daj mi spokój. – Macham na niego ręką, kierując się w stronę przebieralni.

Jace idzie za mną. Czasami mam wrażenie, że najchętniej nie odstępowałby mnie na krok. Szanuję jego troskę, ale czasami mnie ona przytłacza. Nieraz rozmawialiśmy na ten temat, ale mój przyjaciel najzwyczajniej nie chce mi wierzyć, kiedy mówię, że dam sobie radę sam. Nie jestem załamany desperatem, mogącym w każdej chwili targnąć się na swoje życie. Nie chcę umrzeć. Po prostu trudno mi się odnaleźć w nowej rzeczywistości, to tyle. Nie wiem, może potrzebuję więcej czasu, by przyzwycząć się do myśli, że już nigdy nie będę strażakiem? To było moje marzenie! A teraz... czuję się taki bezwartościowy. Nawet nie wiem, jak opisać stan, w którym się znalazłem. Brakuje mi czegoś istotnego. Czegoś, co sprawiłoby, że znów stałbym się kimś.

– Chyba nie masz zamiaru władować się ze mną pod prysznic? – Unoszę brwi, zerkając na Jace'a przez ramię, po czym ściągam mokrą koszulkę.

Przy moim przyjacielu nie czuję się skrępowany, ale gdyby był z nami ktoś inny, nie odważyłbym się pokazać swojego ciała.

Moje blizny mówią z grubsza o tym, że w wyniku eksplozji butli gazowej doznałem poważnych obrażeń i tylko dzięki bravurowej akcji moich kolegów wyszedłem z tego cało. No tak,

może nie cało, ale nadal jestem wśród żywych. Twarz i skóra głowy zostały tylko lekko uszkodzone, ale lewe ramię, łopata i żebra ucierpiały o wiele bardziej. Pozyskiwanie skóry na przeszczepy naruszyło nietknięte obszary, więc myślę, że żarty porównujące mnie do potwora Frankensteina nie powinny nikogo dziwić.

– Wiesz co, z przyjemnością namydliłbym ci plecki, ale muszę za pół godziny pojawić się w remizie – odpowiada, a ja czuję ucisk w żołądku na samo wspomnienie o straży pożarnej. – Odezwij się później, okej?

– Pozdrów chłopaków – mówię i żegnam się z nim, zanim zdąży jeszcze coś dodać.



Jestem sam, a wokół szaleje ogień. Nie mogę się ruszyć, moje stopy dosłownie stapiają się z podłogą. Próbuję krzyczeć, ale zamiast tego zanoszę się kaszlem. Dym wpelza do nosa i płuc, zabierając oddech. Czuję smród palącego się mięsa. Spoglądam na dłonie, których skóra jest pożerana przez gorące płomienie. Żywiol nieubłaganie wgryza się w moje ciało, a ja nie mogę nic na to poradzić. Krzyczę, wołam o pomoc, ale nikt mnie nie słyszy. Zginę tu, rozplynę się, po prostu zniknę nieodwracalnie.

Żar dotyka twarzy, a ja skamlę z bólu i bezradności. Niech ktoś mnie stąd wyciągnie! Niech ktoś to przerwie, nieważne jak, nie pogardzę nawet kulką w łeb.

Rozbrzmiewa dzwonek do drzwi, będący dla mnie w tym momencie wybawieniem. Budzę się ze snu mokry od potu i zdyszany. Przez chwilę leżę bez ruchu z walącym sercem, sparaliżowany strachem. Nadal czuję dym.

Przecieram oczy, próbując wziąć się w garść. Wstaję z łóżka i na trzęsących się nogach podchodzę do okna. Otwieram je na oścież. Oddycham świeżym wiosennym powietrzem, ale w zakamarkach głowy wciąż tli się wspomnienie pożaru. Głośnie pukanie przypomina mi, że ktoś czeka na klatce schodowej. To może być tylko jedna osoba – Jace.

Przeklinam pod nosem, drapiąc się przez materiał ściągający, który muszę nosić jeszcze przez kilka kolejnych tygodni. Wciągam dresowe spodnie i białą koszulkę. Zanim otworzę, zerkam na zegarek i odkrywam, że dochodzi piętnasta. Cały dzień w dupie, ale to żadna nowość. Moja egzystencja, bo trudno to nazwać prawdziwym życiem, opiera się głównie na jedzeniu, piciu, toalecie, treningach i w miarę możliwości śnie.

– Dzwoniłem do ciebie chyba ze sto razy! – wita się ze mną mój przyjaciel.

Po pewnym incydencie... no dobra, nie będę ściemniać... po tym, jak Jace znalazł mnie na wpół przytomnego po całodniowej libacji alkoholowej, kazał mi obiecać, że zawsze będę odbierał, kiedy dzwoni, a jeśli nie zdążę, mam niezwłocznie do niego napisać.

– Ciebie też miło widzieć – odpowiadam, wpuszczając go do środka.

– Najchętniej spuściłbym ci wpierdol!

– Nie krępuj się...

– Nie zachowuj się jak rozkapryszone dziecko! To już dawno przestało być śmieszne. Nie potrafisz wbić sobie do pały, że się o ciebie martwię? Zresztą nie tylko ja. Nie chcesz rozmawiać o tym, co się stało. Dobrze, ja to rozumiem, ale nie odwracaj się od ludzi, którym na tobie zależy. Spróbuj chociaż...

– Myślisz, że tego nie robię? – wchodzę mu w zdanie. – Próbuję każdego dnia. Chodziłem nawet na te idiotyczne spotkania z psychoterapeutą i jakoś nie czuję się po nich lepiej.

– Byłeś tam zaledwie kilka razy i przypuszczam, że na ani jednej wizycie się nie odezwałeś.

To nie jest do końca prawda, odezwałem się, dokładniej rzecz ujmując, aż dwadzieścia razy. Dzień dobry i do widzenia przy każdym spotkaniu.

– Jadłeś już coś? – Jace zmienia temat, za co jestem mu ogromnie wdzięczny.

– Nie i nie mam ochoty na kebaba – odpowiadam na jeszcze niezadane pytanie.

– Masz coś w lodówce? – Włazi do kuchni, jakby to było jego mieszkanie, i zaczyna przeglądać półki. – Człowieku, hodowlę pleśni otwierasz czy jak? – Wyjmuje z chlebaka bułki kupione jakieś dwa tygodnie temu, po czym wyrzuca je do kosza na śmieci. – Czym ty się, do chuja, żywisz? Nic tu nie ma. Weź się ogarnij, bo czuć cię z kilometra, i idziemy na miasto. Nie chcesz kebaba, to pójdziemy do tej nowej pizzerii na rynku. Scott mówił, że jest tam tanio i smacznie.

– Daj mi piętnaście minut – oświadczam i udaję się do łazienki.

Znam Jace’a wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że dyskusja z nim nie ma najmniejszego sensu. Prędej czy później i tak postawi na swoim. Poza tym jestem potwornie głodny, a z mojego brzucha rozlega się głośnie burczenie.

Biorę zimny prysznic, który orzeźwia mnie i stawia na nogi prawie jak w cudownym uzdrowieniu. Osuszam włosy ręcznikiem i nawet nie próbuję ich układać. Przeczesuję czarne pasma palcami, po czym zakładam opatrunki uciskowe i świeże ubranie. Nie kontroluję swojego odbicia, nienawidzę luster. W dzień mojego wypisu ze szpitala stłukłem wszystkie, nie mogąc znieść widoku własnej gęby.

– Chodźmy! – wołam Jace’a, zabierając portfel, klucze i skórzaną kurtkę.

Od kilku tygodni mamy wiosnę, ale na dworze nadal jest zimno. Mieszkam w penthousie niedaleko rynku. To przytulne, luksusowe gniazdko należało kiedyś do moich rodziców, ale po

ich śmierci to ja stałem się właścicielem. Renta, którą otrzymuję z tytułu stałego uszczerbku na zdrowiu i częściowej niezdolności do pracy, spokojnie wystarcza na życie, tym bardziej że nie muszę płacić czynszu.

– Idziemy pieszo? – pyta mój przyjaciel, zapinając wszystkie guziki brązowego płaszcza. – Wieje jak diabli.

– To tylko kawałek – przypominam mu. – Za piętnaście minut będziemy na miejscu, a samochodem musiałbym szukać wolnego miejsca na parkingu, co zajęłoby dobre pół godziny o ile nie więcej. Wiesz przecież, jak to wygląda.

– Ty nie masz samochodu – zauważyła, parząc na mnie z ukosa.

– Nie popełnię drugi raz tego samego błędu.

– To była wyłącznie twoja wina!

– Przykleiłeś się do mnie jak napalona nimfomanka.

– Nie ostrzegłeś mnie przed startem.

Na samo wspomnienie ściskającego mnie Jace’a chce mi się śmiać. Nigdy nie lubił motorów, a po tym, jak próbowałem go podwieźć do klubu walk, stwierdziłem, że po prostu nie jest stworzony do jazdy na motocyklu. Niby przeczuwałem, że ta przejażdżka może się źle skończyć, ale nie wpadłem na to, że od razu po ruszeniu maszyny mój przyjaciel obejmie mnie w pasie i przylgnie do mnie tak mocno, jakby jego życie właśnie zawisło na włosku.

Jace przewraca oczami i chucha na dłonie, po czym pociera je o siebie, jakby panowała ujemna temperatura. Miarowym krokiem suniemy przez park, wzdłuż rzeki. Na drzewach zaczynają pojawiać się pąki kwiatów, a trawa robi się gęstsza i bardziej zielona.

W miarę jak zbliżamy się do rynku, coraz mocniej czuć zapachy świeżego pieczywa, fast foodów, słodkich deserów i innych sprzedawanych na ulicy przysmaków. Po drodze do pizzerii wsłuchuję się w opowieści przyjaciela, ale sam praktycznie w ogóle się nie odzywam.

– W przyszłym tygodniu jest impreza w Irish – oznajmia Jace po tym, jak zajmujemy miejsce w rogu knajpki. – Luka mówił, że ma grać parę świetnych zespołów.

– Przedniej zabawy życzę – mamrocze, otwierając kartę dań.

– O nie, tym razem nie wymigasz się tak łatwo. Masz pójść z nami! Co ci szkodzi?

– Nie pasuję tam. – Rzucam mu krótkie, ale wymowne spojrzenie.

– Ludzie zawsze się będą gapić, grunt, żeby się tym nie przejmować.

– Tak, oczywiście... tylko że trudno się nie przejmować w momencie, gdy dziecko jednej z klientek pubu wybucha płaczem na twój widok.

– Wciąż masz z tym problem?

– Słuchaj, to nie tak, że was unikam. Po prostu wiem, jak wyglądam i widzę, jak inni na mnie patrzą. Słyszę, jak szepczą za moimi plecami, jak snują domysły, co mogło mi się przytrafić. To męczące, a na dłuższą metę wręcz nie do zniesienia.

– Czy informacja, że to kostiumowa zabawa, w czymś pomoże? – pyta, patrząc na mnie błagalnym spojrzeniem.

– I co, mam się przebrać za Freddy'ego Kruegera? W sumie czemu nie, nie potrzebuję nawet charakteryzacji.

– Hola, bro, Kruegerowi to ty do pięt nie dorastasz.

– Nie prowokuj mnie, wiem, co robisz – ostrzegam go.

– Czyżby?

Uwielbiam wyzwania. Im trudniejsze, tym lepiej. Przed pożarem czerpałem z życia pełnymi garściami, chciałem spróbować wszystkiego po prochu. Nie bałem się podejmować ryzyka, ponieważ wiedziałem, że lepiej coś zrobić, niż później żałować swojego tchórzostwa. Utrata pracy i blizny przypominające mi o wypadku zmieniły moje nastawienie. Staram się odzyskać dawnego siebie, walczę o to każdego dnia, ale bywają chwile, kiedy myślę, że to niemożliwe.

- Będzie cała ekipa? – pytam, dając tym samym za wygraną.
- Jasne, że tak. Nie pożałujesz tego, serio.
- To się jeszcze okaże – mówię po cichu, następnie wstaję, by zamówić nam coś do jedzenia i picia. – Salami, dużo sera i zimne piwo?
- Wciągnę wszystko, umieram z głodu, tylko nie bierz niczego z pieczarkami, bo rzygnę.

NATALIA

Za dwa dni mamy występ w Fürstenbergs Irish Pub. Jestem taka podekscytowana, że nie mogę usiedzieć w miejscu. Grałyśmy już w większych i bardziej znanych lokalach, ale Tuttlingen to moje miasto i mam do niego sentyment.

Odkładałam odkurzacz do schowka i idę do kuchni, by wyjąć z lodówki butelkę wody. Biorę kilka łyków, po czym odstawiam ją na miejsce. Mimo ostrych porządków nadal jestem naładowana energią. Mam ochotę pobiegać, ale z tego, co widzę za oknem, pogoda nie dopisuje i prawdopodobnie zaraz zacznie padać. Nie mogę się przeziębici. Jestem główną wokalistką Wahnsinn, dziewczyny chyba by mnie zabiły, gdybym straciła głos. Pogłaśniam muzykę i zaczynam tańczyć. Wiruję jak szalona, śpiewając razem z Blur piosenkę *Song 2*. Przy tym kawałku nie da się stać spokojnie, do niego trzeba podskakiwać. No to skaczę.

– Zwariowałaś?! Wiesz, która jest godzina? – Sophi wystawia głowę zza drzwi swojego pokoju.

Jej mieszkanie już dawno zostało wyremontowane, ale czas spędzony razem pokazał nam, że tak jest po prostu raźniej. Poza tym teraz płacimy czynsz na pół i mamy okazję codziennie razem muzykować. Po dłuższej rozmowie podjęłyśmy jedyną

słuszną decyzję, dzięki której moja przyjaciółka stała się także moją współlokatorką.

– Mogłabym cię zapytać o to samo, śpiąca królowno – odpowiadam, nawet nie myśląc o tym, by się zatrzymać. Wykonuję piruet, a kiedy utwór dobiega końca, kłaniam się przed nią teatralnie, puszczając jej oczko. – Jest wpół do trzeciej, wyciągnęłam mięsko z zamrażarki i czekam, aż zrobisz nam coś na obiad.

– Dlaczego sama nie zrobisz, mądralo?

– Twoje lepiej smakuje.

– Racja – przyznaje i zapewne myśli w tym momencie dokładnie o tym samym, co ja.

Jestem okropną kucharką. Potrafię spartolić nawet jajecznicę, co zdaniem Sophi jest nie lada wyczynem. Lubię jeść, to akurat bardzo sprawnie mi wychodzi, ale jeśli sama mam coś upieścić...

– Pokrój mięso w kostkę, a ja doprowadzę się w tym czasie do stanu używalności – mówi ciągle zaspana. – Tylko uważaj na palce, błagam cię! Nie mam zamiaru znów jechać z tobą na pogotowie!

Uśmiecham się niewinnie, a ona kręci głową i znika mi z oczu. Tanecznym krokiem sunę do kuchni i wyciągam z bloku wielki nóż. Skurczybyk już nieraz dał mi popalić, ale skłamałabym, twierdząc, że się do tego nie przyczyniłam. Dwa tygodnie temu na przykład chciałam przepołowić jabłko. Jak to ja, bez uprzedniego przeanalizowania sytuacji, chwyciłam owoc w jedną dłoń, a drugą zaczęłam go przekrawać. Nietrudno zgadnąć, jak to się skończyło... a no z ostrzem w rękę. Sophi klęła na czym świat stoi i od razu zabrała mnie do szpitala. Rana była na tyle głęboka, że lekarz musiał ją zszyć, ale całe szczęście nie uszkodziłam sobie ścięgien.

Moja przyjaciółka dołącza do mnie, akurat gdy kończę kroić. Natychmiast przejmuje pałeczkę i zaczyna swoje czary. Tylko ona jest w stanie zrobić cuda z niczego. No dobra... ona i moja omi.

Zaledwie kilka minut później Sophi podrzuca już wszystkie składniki na dobrze rozgrzanej patelni, a ja przyglądam się temu z zaciękwaniem, siedząc na wysokim krześle barowym, oparta łokciami o blat kuchenny.

– Nadal dostajesz wiadomości od tego dupka? – pyta, posypując przygotowywaną potrawę jakimiś przyprawami.

– Zablokowałam go na Facebooku, ale nie chcę zmieniać numeru telefonu. Miałam nadzieję, że jak nie będę odpisywać, to da mi spokój.

Pierwsze dni po zerwaniu z Theo były dla mnie koszmarem i gdyby nie moi przyjaciele, bardzo szybko bym uległa i do niego wróciła. Nieocenioną pomocą były częste rozmowy z Leną. Uwielbiam tę laskę i nie wiem, co bym bez niej zrobiła. Dziewczyny z Wahnsinn również były olbrzymim wsparciem. Z czasem zrozumiałam, że związek z Theo był toksyczny i tylko mnie niszczył. Nie ukrywam, że w dalszym ciągu coś do niego czuję, ale nie jestem już na etapie rozplywania się pod wpływem jego spojrzenia. Zauroczenie minęło, odkrywając smutną prawdę.

– Minęło już ponad pół roku, ja na twoim miejscu już dawno zmieniłabym numer – oświadcza Sophi.

– Nawet jeśli to zrobię, naprawdę myślisz, że on nie będzie w stanie zdobyć tego nowego?

– Powinnaś zacząć się umawiać z innymi kolesiami. Może jak zobaczy, że jesteś zajęta, wbije sobie raz za zawsze do tego pustego łba, że już cię nie odzyska!

– Nie mam ochoty łądować się w kolejny związek.

– To przecież nie musi być od razu coś poważnego. Zabaw się, a nuż spotkasz kogoś fajnego.

– Masz na myśli kogoś takiego jak ten czarujący strażak, który ostatnio tak zaszalał, że musiałaś kupować nowe łóżko? – Poruszam znacząco brwiami, a ona w jednej chwili zalewa się rumieńcem.

– Tak, dokładnie kogoś takiego mam na myśli – odpowiada, nakładając gotowy już makaron z kurczakiem i warzywami na talerze. – Luka, bo tak się nazywa, ma przyjść z paroma kumplami na nasz występ w Irish.

– Dawno cię takiej nie widziałam. Aż promieniejesz, kiedy o nim mówisz.

– To dobry facet.

– Mam taką nadzieję, w przeciwnym razie będzie miał ze mną do czynienia.

– Ostatnio nie miałam okazji ci go przedstawić, ale w sobotę nadrobimy.

– No tak, ostatnio mieliście ręce pełne roboty.

Sophi pokazuje mi język, po czym dosiada się i wspólnie zaczynamy jeść.

ROZDZIAŁ 4

NATALIA

Wychodzę na drewniany podest, czyli improwizacyjnie złożoną scenę w knajpie. Sophi siedzi przy perkusji, obracając palcami, Ina, basistka, stoi po mojej lewej, a Lottie z gitarą prowadzącą po prawej stronie. Przebrałyśmy się za seksowne wampirzyce. Podobnie jak koleżanki z zespołu mam na sobie nieprzystojnie krótką sukienkę w gotyckim stylu z wbudowanym gorsetem, idealnie eksponującą moje kobiece kształty. Do tego mocny, ale gustowny makijaż, lekko pofalowane włosy i spływająca z kącika ust sztuczna krew. Czarne muszkietierki na wysokich szpilkach idealnie dopełniają całości.

Uśmiech sam pojawia mi się na twarzy. Goście Irish przyglądają się nam z zaciekawieniem, czekając niecierpliwie, aż zaczniemy grać. Pub jest pełen ludzi, niektórzy nawet stoją z piwem w ręku.

Jak przystało na irlandzki lokal, w Irish Pubie dominuje kolor zielony, piwo Guinness i dobra whisky. Bar wykonany z dębowego drewna robi ogromne wrażenie. Na każdym stoliku stoją miseczki z fistaszkami. Klienci rozłupują je, zjadają orzeszki,



a łupiny zrzucają na podłogę. Zapach świeżo przygotowanych dań sprawia, że sama zaczynam być głodna, a przecież zjadłam wypasioną kanapkę, zanim opuściliśmy mieszkanie. No ale kto normalny oparłby się soczystemu stekowi polanemu czosnkowym masłem?

Przełykam ślinę, odrywając wzrok od talerzy gości i obiecuję sobie, że zaraz po koncercie zamówię dużą porcję mięcha. Spoglądam na kilku mężczyzn siedzących w rogu sali. Od Sophi wiem, że są to koledzy Luki. Obiekt westchnień mojej przyjaciółki rozmawia właśnie z zombiakiem, ale co chwilę zerka na scenę, by posłać naszej perkusistce nieśmiały uśmiech.

Jezu, jaki on jest słodki. Do tego przebrał się za Jacka Sparrowa, mojego ulubionego pirata. Przejeżdżam spojrzeniem dalej i zatrzymuję wzrok na wysokim brunecie ze spuszczoną głową. Jego postawa każe mi myśleć, że w ogóle nie jest mu dobrze z myślą spędzenia w tej knajpie całego wieczoru. Ma na sobie stary, podarty sweter w paski, czarny kapelusz i rękawicę z ostrzami zamiast palców, do tego zajebistą charakterystyczną. Blizny wyglądają jak prawdziwe, choć trochę mnie dziwi, że nie pokrywają całej twarzy. Z tego, co pamiętam, Freddy został w całości spalony żywcem.

Moje rozmyślenia zostają przerwane przez zapowiadającego nas właściciela lokalu. Starszy mężczyzna z siwą, ale zadbaną brodą chwali nas i mówi, że sam długo czekał na nasz występ. Jego słowa dodają mi otuchy, ale jednocześnie wprowadzają w lekki stan podenerwowania. Nie chcę go zawieść i liczę, że nasze kałki zachwycą go na tyle, byśmy mogły grać tutaj częściej.

Kiedy schodzi ze sceny, witam się z publiką i życzę wszystkim udanej zabawy. Zanim zaczynamy grać, wymieniam się z dziewczynami znaczącymi spojrzeniami. Mamy godzinę, by pokazać, na co nas stać, później grają jeszcze trzy inne zespoły.

Zwilżam usta językiem, uspokajam oddech i zaczynam śpiewać. Mój głos rozbrzmiewa w całej knajpie, a goście nagle milkną,

wsluchując się w każde moje słowo. Najwyraźniej *a cappella* poprzedzająca wspólne muzykowanie była genialnym pomysłem. Nie czuję już zdenerwowania, ono znika zawsze, gdy otwieram usta na scenie. Teraz liczą się tylko wypływające ze mnie emocje. Pragnę przekazać widowni dokładnie to, co czuję, chcę, by przez te kilkadziesiąt minut zanurzyli się w moich myślach i zobaczyli to, co ja widzę. Opowiem im historie, których nie zna nikt. Odkryję się, pokazując odniesione rany, narażając się na ich krytykę.

W chwili, gdy kończę solo, wchodzi gitara, a zaraz po niej reszta instrumentów. Kołyszę się w takt spokojnej ballady, a mój wzrok, jakby przyciągnięty magią, zatrzymuje się na mężczyźnie w stroju Kruegera. Nie ma już spuszczonej głowy, jego oczy są wpatrzone we mnie. Nawet nie mruga, a ja mam wrażenie, że on jako jedyny rozumie moje przesłanie.

Zatracona w jego hipnotyzującym spojrzeniu, śpiewam pierwszą zwrotkę. Utwór *Verloren*⁴ powstał już jakiś czas temu, ale jego treść nadal wywołuje we mnie te same emocje. Nie bronię się przed tym, wręcz przeciwnie, staram się pokazać słuchającym nas ludziom całą swoją duszę. Pierwsze wersy mówią o budowaniu czegoś tylko po to, by w następnej chwili to zniszczyć.

*Czasami przecież tak jest:
sadzimy drzewo – spalamy je,
nim pojawią się owoce.*

*Psujemy wszystko, sensu brak,
a ulice są takie puste.
Czy kiedyś zabraknie nam łez?*

*Cała nasza egzystencja –
Niczym kurz co na półkach*

⁴ *Verloren* (z niem.) – Stracony.

*Nieustannie zbiera się
– Wystarczy dmuchnąć i znika.*

*A kiedy skończy się dzień,
wszystko jest takie samo.
I nadal czegoś brakuje,
przecież to wciąż za mało.*

*Niszczymy się nawzajem.
Kochamy się ze strachem.
Rozdzielamy, nim zapadnie noc.
Zagubieni, niby wolni.*

*Czy na pewno?*⁵

Kiedy kończymy, rozlegają się głośne brawa. Tylko Freddy siedzi w bezruchu, ciągle utrzymując ze mną kontakt wzrokowy. Coś w nim każe mi myśleć, że zna mnie już od dawna. Sposób, w jaki na mnie patrzy, to zrozumienie w jego oczach...

Lottie palcami szarpie struny gitary, zapowiadając kolejny utwór. Kawałek *Unendlichkeit*⁶ został napisany przez Sophi i jest o wiele bardziej optymistyczny od poprzedniego. Tempo piosenki przyspiesza powoli i płynnie. Staram się wczuć w tekst, ale nie jest on tak osobisty, jak te wychodzące spod mojego pióra. Refren śpiewam z Iną, której głos, choć brzmi zupełnie inaczej, świetnie komponuje się z moim.

Wreszcie nadchodzi czas na jedną z moich ulubionych piosenek: *Ich brenne*⁷. Chłopak Lottie podaje mi moją gitarę akustyczną. Przewieszam jej pasek przez ramię, kładąc opuszki palców

⁵ Teksty wszystkich piosenek Natalii powstały przy pomocy Agnieszki Nikczyńskiej-Wojciechowskiej, autorki książki *To, co ukryte*.

⁶ *Unendlichkeit* (z niem.) – Nieskończoność.

⁷ *Ich brenne* (z niem.) – Płonę.

na metalowych strunach. Przygryzam dolną wargę i zamykam oczy, wracając wspomnieniami do odległej przeszłości. Zaczynam grać. Każdy szczegół jest ważny, bo dzięki temu wyśpiewana przeze mnie opowieść na zawsze utkwi w sercach widzów. Cztery powtarzające się akordy, bez refrenu. Basy lekko ściszone, gitara i ja na pierwszym planie. Wsłuchuję się w każdy takt. Muzyka ma podniosłe, prawie żałobne brzmienie, ale jest piękna. Po dwudziestu sekundach przykładam usta do mikrofonu, spowiadając się nieznanym z moich grzechów.

*Krew się we mnie gotuje,
A serce bije tak szaleńczo,
jakby chciało wyskoczyć z piersi.*

*Jest mi duszno, potwornie duszno,
wokół lecą iskry, iskry,
a wszystko się pali, pali się.*

*Płoną moi bliscy, płonę ja,
zostawiając za sobą tylko
popiół i dym, popiół i dym.*

*Ale spomiędzy czarnych chmur,
dostrzegam trochę błękitu.
Niczym nadzieja przebija się.*

*Wstrzymuję oddech, łapię rękę,
po prostu łapię czyjąś rękę,
i przechodzę nad żarem.*

*Wiem, że wszystko będzie dobrze.
Chodź!
Wstawaj!*

Otwieram powieki i odnajduję spojrzeniem Freddy'ego. Jest błady jak ściana, wręcz przerażony. Jakby znał uczucie, które towarzyszyło mi podczas pisania tego utworu. Jakby wiedział o wiele więcej, niż jest to możliwe. Nie zamykam już oczu, choć robię to prawie zawsze. Odnoszę wrażenie, że drugą połowę piosenki powinienam podarować wyłącznie jemu. I może to głupie, może po prostu za dużo sobie wyobrażam, ale nie jestem w stanie zrobić inaczej. Śpiewam:

*Kamienie topią się
pod moimi stopami,
a odłamki latają,
Latają w powietrzu.*

*Otacza mnie ściana ognia.
Wszystko płonie, wszystko płonie,
pozostawiając za sobą tylko
popiół i dym, popiół i dym.*

*Duszę się, boję się świata.
Proszę, podaj mi dłoń i naucz,
naucz mnie oddychać.
Naucz, naucz mnie, jak żyć
z tą pustką w głębi serca.*

Poprowadź mnie.

Brunet o magnetycznym spojrzeniu wstaje i opuszcza pub. Czuję odrobinę rozczarowania. Nie wiem dlaczego, ale jakaś część mnie życzy sobie, by został. Tym bardziej że za chwilę odślonię kolejną kartę autobiografii.

Zastanawiam się, czy jeszcze wróci. Może wyszedł tylko zapalić? Przewietrzyć się? Czy na zewnątrz słyszać naszą muzykę?

Nawet gdyby tak było, nie będę mogła zobaczyć jego reakcji.
Dlaczego mnie to w ogóle interesuje?

REINER

Nie mogę dłużej. Dławię w sobie panikę i z trudem podnoszę się z miejsca. Mam nadzieję, że przyjaciele nie zauważają, jak bardzo jestem wstrząśnięty i poruszony. Wydaje mi się, że stojąca na scenie kobieta przejrzała mnie na wylot, odczytując każdą, nawet tę najskrytszą myśl. Śpiewem trafia prosto w moje serce, odkrywając zakorzeniony w nim ból. Jej słowa... to niemożliwe, żeby czuła taki sam chaos.

– A ty dokąd idziesz? – Jace marszczy brwi, lustrując mnie badawczo. – Żle się poczułeś?

– Nic mi nie jest – uspokajam go, a kiedy kumpel chce wstać, by mi towarzyszyć, kręcę stanowczo głową. – Zaraz wrócę. Daj mi minutę. Naprawdę nie musisz wszędzie za mną łązić.

– W porządku, ale jeśli coś, to wiesz...

– Wiem, bro – odpowiadam, zmuszając się do uniesienia kącika ust, następnie szybkim krokiem wychodzę z lokalu.

Zatrzymuję się przed wielką donicą z kwiatami. Opieram się o nią, oddychając głęboko świeżym powietrzem. Blask księżyca z trudem przebija się przez ponure chmury, majacząc niewyraźną, mglistą poświatą. Wiatr nie jest już tak silny jak w ciągu dnia, zaledwie muska moją twarz chłodem. Mimo późnej pory miasto tętni życiem.

Nakazuję sobie spokój, ale moje mięśnie nie chcą słuchać i napinają się do granic możliwości. Jestem rozdarty pomiędzy chęcią wrócenia do pubu i wsłuchania się w kolejne piosenki jasnowłosej wokalistki, a pragnieniem pojechania do klubu sportowego, by powalczyć z workiem. Zalewają mnie emocje, a ich

intensywność zaczyna przerażać. Zdejmuję z głowy kapelusz i ciskam nim o ziemię. Nerwowo przeczesuję włosy palcami, łapię się za kark i powstrzymuję od kopnięcia w tę cholerną donicę przede mną.

Mijający mnie ludzie pewnie myślą, że jestem nieźle wstawiony, a przecież nic nie wypilem. Może warto to zmienić? Alkohol zaleje smutki, przyćmi zmysły... ale tylko na chwilę. Znam to, aż za dobrze. Po tym, jak Jace znalazł mnie pijanego w sztoku, leżącego we własnych wymiocinach, spostrzegłem, że to droga donikąd. Od tamtej pory nie tykam wody i tylko raz na jakiś czas pozwalam sobie na zimne piwo.

W głowie ciągle słyszę głos dziewczyny z knajpy. Słowa odbijają się echem w moim wnętrzu, doprowadzając mnie do szaleństwa.

Wszystko płonie, pozostawiając za sobą tylko popiół i dym.

Czuję na sobie jej wzrok i nie potrafię się zdecydować, czy to coś dobrego, czy wprost przeciwnie. Nie mogła śpiewać o mnie, nie znamy się, a żaden z moich kumpli nie rozpowiadałby o tym, co się wydarzyło pierwszej lepszej pannie. Poza tym nawet gdyby Luka wspomniał o mnie swojej nowej lasce, nie widzę żadnego powodu ku temu, by jej przyjaciółka z zespołu miała się tym na tyle przejąć, by napisać te słowa.

Zaciskam pięści tak mocno, że paznokcie wbijają się w dłonie. Po jakiego chuja tak bardzo się przejmuję? Co w jej głosie sprawia, że nie mogę być obojętny? Nie chodzi wyłącznie o przekaz, gdyby tak było, w ogóle nie wychodziłbym z łóżka. Filmy o strażakach, horrory z płonącymi żywcem ludźmi i inne tego typu rzeczy nie robią na mnie tak wielkiego wrażenia. A więc co, u diabła, sprawia, że teraz ledwo się trzymam na nogach?

– Co się dzieje, Reiner? – Głos mojego przyjaciela wyrывa mnie z zamyślenia.

Domyślałem się, że Jace nie wytrzyma długo i wkrótce do mnie dołączy. Pozostali wiedzą, że właśnie on ma największą

szansę, by wydusić ze mnie prawdę, więc nawet nie próbują porywać kogoś innego.

– Już ci mówiłem...

– Nie pierdol głupot, nie jestem ślepy. Sterczysz na dworze ponad pół godziny.

Nie spodziewałem się, że minęło już tyle czasu. Schylam się, by podnieść ubrudzony kapelusz, ale nie nakładam go na głowę. Gniotę sztywny materiał w palcach, żeby zająć czymś ręce.

– Chcesz pogadać? – pyta, ale ja szybko zaprzeczam.

Nigdy nie byłem w tym dobry i obawiam się, że tak już zostanie. Nikt nie nauczył mnie rozmawiać o uczuciach. Kiedy próbuję, wydaje się to sztuczne, nie na miejscu... Wolę wyrzucić z siebie frustrację w inny sposób.

– Nie jestem ci w stanie pomóc, dopóki ty mi na to nie pozwolisz – stwierdza, zbliżając się do mnie o kolejnych parę kroków.

– Kto powiedział, że potrzebuję pomocy?

– Nie wkurwiał mnie – mówi na pozór opanowanym głosem, patrząc mi prosto w oczy. – Jesteś dla mnie jak brat, doskonale wiesz, że nie zostawiłbym cię na lodzie. Nieważne, jak bardzo się o to starasz. Przyjmij do wiadomości, że nie odpuszczę, kapujesz?

– Zaraz do was dołączę – oświadczam dla świętego spokoju.

– Nie o to chodzi! Nie musimy tu dłużej siedzieć, jeśli jest coś nie tak. Po prostu nam o tym powiedz.

Wzdycham głośno, szukając odpowiednich słów, ale one grzęzną mi w gardle. Czuję się jak ostatni dupek. Gdybym tylko potrafił, dałbym swoim przyjaciołom takiego Reinera, na jakiego zasługują, ale obawiam się, że on już dawno zniknął.

– Daj mi jeszcze kilka minut – proszę go, opierając się o donicę. – Nie przejmuj się mną, naprawdę nic mi nie dolega.

Jace klnie cicho i wyciąga z kieszeni kurtki paczkę marlboro.

– Myślałem, że rzuciłeś to świństwo.

– Rzucam już od sześciu lat, ale jakoś mi to, kurwa, nie chce wyjść – oznajmia, zapalając papierosa.

Śmieję się, ale tylko przez chwilę. Zastanawiam się, czy zapytać go o tę wokalistkę. Czy zorientuje się, że opuściłem pub jedynie z powodu jej piosenki? A jeśli tak, co sobie pomyśli? Wystarczająco się o mnie martwi, a takie niuanse tylko wszystko pogorszą. Lepiej trzymać głę na kłódkę.

– Luka ciągle gada o swojej nowej dziewczynie – mówi Jace, umyślnie kierując naszą rozmowę na inne tory. – To ta perkusistka. Wygląda na niezły numer. Zresztą one wszystkie sprawiają wrażenie niegrzecznych.

Przełykam ślinę, nie dając po sobie poznać, jak bardzo ciekawi mnie jedna z członkiń tego zespołu. Chciałbym dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Poznać jej historię, odkryć, co sprawiło, że pisze takie, a nie inne teksty. Bo to, że ona jest ich autorką, wiem dzięki Luce. Gościu rzeczywiście nieustannie gada o Sophi. Jeszcze zanim dziewczyny weszły na scenę, poznaliśmy całą historię powstania Wahnsinn.

– Nieźle go wzięło – kontynuuje Jace. – Zna laskę niecałe dwa tygodnie, a już przepadł na całego. Jeszcze go takiego nie widziałem. Mniejsza o to – macha ręką – za kilka minut dziewczyny kończą swój występ i Luka chce nam je przedstawić. Dwie są wolne. – Porusza sugestywnie brwiami.

– Wiesz, że nie jestem towarzyskim typem, nie interesują mnie kobiety...

– Dziwne, mógłbym przysiąc, że jesteś hetero.

Rzucam mu krótkie, ale wymowne spojrzenie, a on parska śmiechem, klepiąc mnie po plecach. Właśnie dlatego w jego towarzystwie czuję się najlepiej. Jace nie boi się stroić sobie ze mnie żartów. Mówi, co mu ślina na język przyniesie, nie zważając na to, co pomyślą inni. Jest otwarty, zwykle w dobrym humorze i szczerzy do bólu.

– Chodź, pogadamy trochę z nimi, a potem się zmyjemy – proponuje, sztacha się jeszcze dwa razy, gasi fajkę i wyrzuca ją do kosza.

NATALIA

Jestem zadowolona z naszego występu. Zawsze daję z siebie wszystko, nieważne, czy publika liczy kilkoro, czy kilkuset ludzi. Nie jesteśmy znanym zespołem, ale za to bardzo dobrym. Zakładając kapelę, postawiłyśmy sobie wymarzone cele i tego się trzymamy. Zależy nam na graniu, dzieleniu się własną pasją, jednak niekoniecznie dążymy do wielkiego rozgłosu. Szczerze, sama nie wiem, czy chciałabym być sławna. Myślę, że to nie dla mnie.

Po spakowaniu sprzętu i odebraniu zapłaty przysiadamy się do stolika Luki. Freddy nadal nie wrócił i z tego, co twierdzą pozostali, wynika, że to nic nowego.

– Jeśli Jace go nie namówi, by wrócił, to nikt tego nie robi – oznajmia zombie, który przedstawił się jako Scott. – Żal mi go – mamrocze cicho.

– Byłyście niesamowite! – wtrąca się przebrany za pirata Luka. – Sophi mówiła, że jesteście dobre, ale nie spodziewałem się, że aż tak. Dziwię się, że wasze kawałki nie lecą non stop w radiu.

Sophi się rumieni, co jest na tyle zaskakujące, że wlepiam w nią zaciekawione ślepie, zastanawiając się, czy ktoś nie podmienił mi przyjaciółki. Dziewczyna sący drinka i wygląda tak, jakby nie mogła się doczekać, aż zostanie z Luką sam na sam.

– Prawdę mówiąc, nigdy nie pisałyśmy do żadnej wytwórni – przyznaje Ina. – Lubimy grać na żywo, to nam sprawia największą radość.

– Da się z tego wyżyć? – pyta Elias, łysy, niebieskooki mężczyzna z gęstym, zadbanym zarostem.

– Jasne. Nie zarabiamy kokosów, ale nie musimy zapierdzieć w innej pracy. Gramy w weekendy, zwykle w soboty, resztę tygodnia mamy wolną. Na nic bym tego nie zamieniła. Ale może

kiedyś rzeczywiście posuniemy się o krok dalej i wyślemy komuś naszą muzykę. – Zerka najpierw na mnie, później na naszą perkusistkę.

Gdyby to zależało tylko od Iny i Lottie, już dawno skontaktowałybyśmy się z wytwórniami muzycznymi. Problem w tym, że ja nie jestem przekonana, czy tego chcę. Sophi mnie rozumie i zawsze staje w mojej obronie, kiedy zaczyna się robić nieprzyjemnie. Rzadko się ze sobą kłócimy, ale niestety zdarzają się momenty, w których musimy na siebie choć trochę powrzeszczeć, by nie pęknąć. Już kiedyś proponowałam dziewczynom, żeby znalazły sobie nową, niesprawiającą problemów wokalistkę, ale one nie chcą o tym nawet słyszeć. Zgodnie stwierdziły, że wolą grać dla mniejszej publiczności ze mną, niż koncertować dla milionów bez mojego głosu. Zdaję sobie sprawę z tego, że piszę dobre teksty, co więcej potrafię je dopasować do odpowiedniej melodii. Śpiewam prosto z serca, co daje mi ogromną siłę przebicia. Myślę, że to czuć. Jestem przekonana, że każdy, kto kiedyś słuchał moich kawałków, rozpoznał, jak bardzo są one ze mną związane. To nieodłączna część mojej duszy.

– Można was w ogóle gdzieś posłuchać? To znaczy, mam na myśli YouTube, Spotify? – pyta Elias.

– Pewnie, że tak. Jesteśmy i tam, i tam. Mamy też stronę internetową, chcesz zobaczyć? – Ina wyciąga z torebki komórkę i przeciska się bliżej mężczyzny w stroju diabła.

Nietrudno zauważyć, że barczysty kolega Luki wpadł naszej basistce w oko i z tego, co widzę, ze wzajemnością.

– Idę do toalety – mówię do Sophi. – Zaraz wrócę – zwracam się do reszty, po czym wstaję i kieruję się w stronę ubikacji.

Po tym, jak załatwiam potrzeby, myję ręce i kontroluję swoje odbicie w lustrze. Makijaż lekko się rozmazał. Poprawiam go szybko i już chcę wyjść, kiedy do środka wchodzi moja współlokatorka.

– I jak? Prawda, że słodki? Widziałaś, jak on wygląda? Depp przy nim to zmokły szczur. Kurde, myślisz, że zauważył, jak się na niego gapię? – Sophi zasypuje mnie lawiną pytań.

– Oboje pożeracie się wzrokiem jak wygłodniałe wilki – stwierdzam śmiało. – Zaczynam się tylko obawiać, czy będę mogła dziś zasnąć.

– O to się nie martw, aniele, jadę do niego i mam nadzieję, że nie zmrużę oka przez całą noc.

– Niewyżyty zboczych.

– Że niby ja? Nie chcę na nikogo wskazywać palcem, ale to nie w szufladzie mojego stolika nocnego czai się sztuczny kutas.

– Weź to jeszcze oznajmij na scenie, myślę, że klienci Irish byliby oczarowani.

Chichocze jak Ed z *Króla Lwa*, na co unoszę brew, wykrzywiając usta w grymasie.

– Trochę wypytałam Lukę i wychodzi na to, że Elias, Joshua i Jace są singlami.

– A co z Freddy? – wychodzi ze mnie, zanim zdążę to prze-myśleć.

– Z kim? – dziwi się Sophi.

– No tym gościem, który zwinął się w trakcie naszego występu.

– Aaa – przeciąga samogłoskę, ale najwyraźniej nie ma bladego pojęcia, co mi na to odpowiedzieć.

– Dowiem się czegoś więcej czy połknęłaś język?

– Bo widzisz, sprawa jest taka, że...

Czekam cierpliwie, ale ona ciągle milczy, jakby rzeczywiście odebrało jej mowę. Intuicja podpowiada mi, że trafiłam na wrzeliwy temat.

– Hej! – Do toalety wtarga Lottie, a my aż podskakujemy, obracając się w jej stronę. – Impreza jest tam – pokazuje na wyjście – a nie w kiblu. Ruchy!

– Racja, chodźmy już – zgadza się Sophi i unikając mojego spojrzenia, wychodzi z ubikacji.

– Zostaję jeszcze tylko na chwilę, później jadę do Bena – informuje mnie Lottie. – Wątpię, że Ina pojedzie ze mną tak wczesnie. Zapowiada się raczej na to, że ma ochotę trafić w zupełnie inne miejsce.

– Zdążyłam zauważyć. – Śmieję się. – W razie czego ja ją odwożę, nie musisz więc zawracać sobie głowy.

– Super.

W drodze do naszego stolika zauważam, że Freddy jednak wrócił. Spowalniam kroku, obserwując, jak wita się z dziewczynami z zespołu. Jego twarz jest niewzruszona, jakby emocje były mu zupełnie obce, co jest wręcz niedorzeczne, bo wyraźnie widziałam, jak przeżywa śpiewane przeze mnie piosenki. Nie ma już kapełusza na głowie. Gęste, rozmierzwione włosy są czarne jak pióra kruk. Nawet z takiej odległości widzę, że ma piękne oczy. Jest w nich coś tajemniczego. Coś, co chce się za wszelką cenę odkryć.

Prostuję plecy i unoszę głowę, sunąc pewnie przed siebie. Stawiam sobie za cel rozmowę z tym facetem, nieważne, ile mnie to będzie kosztować. Bez pardonu wciskam się pomiędzy Freddy'ego a Cowboya, którym jest zapewne Jace.

– Hej, jestem Nat – przedstawiam się, trącając go w bok łokciem.

Patrzy na mnie zmieszany i chyba nie do końca wie, jak się zachować. Z sekundy na sekundę wydaje mi się jeszcze bardziej osobiłwy, a co za tym idzie, interesujący. Siedzimy tak blisko siebie, że po raz pierwszy mogę mu się porządnie przyjrzeć. Jest niesamowicie przystojny w taki męski, a nie chłopięcy sposób. Założę się, że bez tej całej charakterystyki laski padają mu do stóp. Ma prosty nos, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i grube, ciemne brwi. Dopiero teraz rozpoznaję kolor jego wyjątkowych oczu. Są szare i przypominają dwa księżyce w pełni. Z łatwością mogłabym się w nich zatracić.

– Reiner – mówi wreszcie, a ja odhaczam jego kolejną zaletę. Ma cudny głos. Niski, ciepły, zmysłowy.

– Podobał ci się nasz występ? – pytam, licząc, że uda mi się z niego wyciągnąć prawdę. Jestem przekonana, że kawałek *Fallen* zrobił na nim piorunujące wrażenie, a zawarte w nim przesłanie zmusiło go do przemyśleń. Nie wiem tylko do jakich. Czy czuł to, co ja?

– Był... intensywny – odpowiada krótko.

– Uznam to za komplement. – Uśmiecham się szczerze i natychmiast rozpoznaję, że Reiner nie należy do gadatliwych.

– Teksty są twojego autorstwa? – pyta, ale przypuszczam, że zna odpowiedź.

– Większość tak, ale niektóre napisała Sophi.

– Wydają się bardzo osobiste.

– Tak myślisz?

Nic nie mówi, tylko przytakuje ruchem głowy. Bardzo łatwo można odnieść wrażenie, że jest nieśmiały i brakuje mu pewności siebie, ale coś mi mówi, że to niezupełnie prawda. Możliwe, że po prostu nie ma ochoty na rozmowę i wolałby być teraz w całkiem innym miejscu. Z drugiej strony dostrzegam w nim coś, co nie daje mi spokoju. Jakby siedziały w nim dwa różne charaktery.

– Skoro tak sądzisz, musiałeś się wsłuchać w słowa – ciągnę, bo nie mam zamiaru się poddać.

Zerka na swoich kumpli, przypuszczalnie szukając wsparcia. Czyżby czuł się niekomfortowo w moim towarzystwie? Ku mojemu zadowoleniu oboje szybko się orientujemy, że nasi przyjaciele już dawno złapali wspólny język i w ogóle nie zwracają na nas uwagi.

– Słyszałam, że wszyscy jesteście strażakami – zmieniam temat, próbując znaleźć taki, przy którym Reiner się rozkręci, ale w momencie, gdy wypowiadam to zdanie, jego mina robi się jeszcze bardziej ponura.

– Ja nie – mamrocze tak cicho, że przez gwar panujący w lokalu ledwo go rozumiem.

Rośnie we mnie złe przeczucie. Mimowolnie wracam wspomnieniami do mojej rozmowy z Sophi. Dziewczyna ewidentnie nie chciała mi o czymś powiedzieć.

Mrużę oczy, wpatrując się w profil siedzącego obok mężczyzny, i zachodzę w głowę, czy dalsze naciskanie go ma sens. Nie chcę być natrętna, sama nie lubię, gdy ktoś nie rozpoznaje aluzji, czepiając się mnie jak jakiś pieprzony rzep.

– Nie widziałam cię tutaj wcześniej – podejmuję ostatnią próbę.

– Rzadko wychodzę z domu.

– Strasznie rozmowny z ciebie typ – stwierdzam, testując taktykę na sarkastycznego luzaka. Chyba pomaga, bo przez ułamek sekundy kącik ust Reinera unosi się delikatnie.

– Dużo lepiej wychodzi mi słuchanie, więc może opowiesz mi o sobie i o tym, dlaczego taka dziewczyna jak ty pisze tak mocne teksty?

No proszę, tego się nie spodziewałam. Już byłam przygotowana na kapitulację, a on mi tu wyskakuje z czymś takim? Może się co do niego pomyliłam i tak naprawdę wcale nie jest speszo-ny? Niewykluczone, że moja osoba zaintrygowała go tak samo jak mnie jego.

– Co masz na myśli, mówiąc: „dziewczyna taka jak ja”?

– Pogodna, pełna energii, roześmiana, sprawiająca wrażenie, że nic nie byłoby w stanie jej powstrzymać.

– Jest bardzo wiele rzeczy, które są w stanie mnie powstrzymać – przyznaję w zamyśleniu, ale szybko mam się znów w garści. Biorę ze stołu garść fistaszków i zaczynam je łupać, by zająć czymś dłonie. – Chyba każdy z nas ma swoje demony. Po prostu jedni radzą sobie z nimi lepiej, inni gorzej.

– Albo nie radzą sobie w ogóle.

Rzucam łupiny na podłogę i wkładam orzeszek do ust. Przeżuwałam dłużej, niż jest to konieczne, analizując jego słowa. Zauważam, że unika mojego spojrzenia, a raczej nie chce, bym się

mu przyglądała. Patrzy prosto przed siebie nawet wtedy, gdy ze mną rozmawia. Nie wydaje mi się jednak, że chce mi tym sposobem zakomunikować, iż ma mnie dość.

– Pisanie tekstów i muzykowanie to twój sposób na nie? – pyta niespodziewanie, a ja dopiero po chwili ogarniam, o co mu chodzi.

– Tak. To pewnego rodzaju terapia.

– Uważasz, że obcy ludzie są w stanie zrozumieć to, o czym śpiewasz?

– Nie wszyscy, ale nie o to mi chodzi.

– A o co?

– Gdybym nie przelewała swoich emocji na papier, a później nie wyrzucała ich z siebie, śpiewając, już dawno postradałabym zmysły. Czasami myślę, że za dużo czuję.

– Tak – szepcze, ale nie mówi nic więcej.

– Jakiej muzyki słuchasz? – pytam, chcąc wyrwać go z zamyślenia.

– Raczej ciężkich rockowych brzmień.

– I to jest dobra odpowiedź. Coraz bardziej mi się podobasz.

– Chcesz mi przez to powiedzieć, że gdybym słuchał niemieckich szlagierów, zostałbym od razu skreślony?

– A to już zależałoby wyłącznie od ciebie.

– Czyli?

– Jeśli dałbyś się naprowadzić na dobrą drogę, dałabym ci szansę.

– Czego ty słuchasz?

– Wszystkiego, co dobre.

– Nie bądź taka, podaj choć jeden utwór, który podbił twoje serce.

– Z mniej znanych to z całą pewnością *Karma Letdown*, *Dezemberluft* Heisskalt i praktycznie wszystkie kawałki The Relentless. Z bardziej znanych: *Bohemian Rhapsody* Queenu, *Nothing Else Matters* Metalliki i *Stairway to Heaven* Led Zeppelin.

Mięśnie jego mocno zarysowanej szczęki napinają się kurczowo. Zamyka oczy, oddychając głębiej, a kiedy je otwiera, wreszcie obraca się do mnie przodem i patrzy mi prosto w oczy.

– No co? – dopytuję, zauważając jego roztargnienie.

– Ta ostatnia piosenka wiele dla mnie znaczy.

– *Stairway to Heaven*?

Kiwa głową, przykładając kciuk do ust. Przygryza opuszek palca, dając sobie kilka sekund do namysłu, po czym kontynuuje:

– Znam ją na pamięć. Kiedyś odtwarzałem ją sobie w głowie przed każdą akcją... – Urywa raptownie. Jego prawe kolano zaczyrna nerwowo podskakiwać.

– Uwielbiam solówkę Jimmy’ego Page’a – mówię szybko, by odwrócić jego uwagę od tego, nad czym się właśnie zastanawia. Mój plan funkcjonuje.

– Tak, jest genialna.

– Cały utwór to istna petarda. Wiesz, że każdy interpretuje go inaczej?

– Słyszałem nawet teorię, że zespół sprzedał swoją duszę diabłu w zamian za ten tekst – oświadcza rozbawiony.

– Nie zdziwiłabym się.

– Grasz na gitarze i z tego, co zdążyłem zauważyć, jesteś całkiem dobra...

– Jestem świetna – poprawiam go, szczerząc zęby.

– I do tego cholernie skromna.

– Jeśli sama nie będę się cenić, nikt tego za mnie nie zrobi.

– Podoba mi się twoja postawa – stwierdza. Widzę, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale chyba gryzie się w język i zamiast tego pyta: – Od jak dawna grasz?

– Zaczęłam dopiero jako nastolatka. Wcześniej nie miałam, jak ani na czym. Dopiero gdy brat kupił mi pierwszą gitarę, zaczęłam się uczyć.

– Chodziłaś na lekcje? To pewnie nie jest zbyt łatwe?

– Jestem samoukiem. Większość informacji można z łatwością znaleźć w podręcznikach do nauki, a później wystarczy ćwiczyć. Nieważne, jak bardzo będą bolały palce. – Zerkam na lewą dłoń.

Wzdrygam się, gdy Reiner niespodziewanie jej dotyka, ale nie zabieram ręki. Podczas kiedy on przejeżdża palcami po moich stwardniałych opuszkach, ja przyglądam się jego twarzy.

– Ale teraz już nie boli? – pyta, ciągle mnie trzymając.

– Już od dawna nie.

Nagle się odsuwa, jakby dopiero teraz do niego doszło, że dotyka mnie dłużej, niż przeciętny człowiek uznałby to za stosowne.

– A ty masz jakieś pasje? – zadaje mu kolejne pytanie.

– Nie jestem pewien, czy to, co robię, można nazwać pasją.

– To jakiś sekret?

Uśmiecha się łobuzersko, unosząc przy tym jedną brew. Czy on ze mną flirtuje? A może tylko chciałabym, by tak było? Intryguje mnie jego tajemniczość i nieoczywistość. Do tego bardzo chcę się dowiedzieć, czy łączy nas coś więcej niż tylko zamiłowanie do muzyki.

– Opowiesz mi o tym czy pozostawisz w słodkiej niewiedzy, bym mogła snuć po nocach teorie spiskowe na twój temat? – Zakładam włosy za ucho, czekając na jego odpowiedź.

– Myślę, że wizja ciebie rozmyślającej o mnie po nocach jest bardziej kusząca od wyznania ci prawdy.

– Jesteś wredny – żartuję, śmiejąc się po cichu.

– Jestem kochany, tylko jeszcze nie zdążyłaś się o tym przekonąć. – Wzrusza niewinnie ramionami.

– Zdradź mi coś o sobie. Ty wiesz już o mnie całkiem sporo. To niesprawiedliwe – zauważam, udając nadąsaną.

– Nienawidzę brukselki – oświadcza ze śmiertelnie poważną miną.

– Ej, to się nie liczy.

– Jak to nie? Właśnie wyjawilem ci jedną z moich największych słabości.

– Bo się wzruszę...

– Wypadałoby.

– Dobra, dobra. Jedziemy dalej... zaserwuj mi coś ciekawego.

– Karaluch może żyć kilka tygodni bez głowy, aż w końcu zdechnie z głodu – odpowiada, najwyraźniej zadowolony z siebie.

– Faj! To nie było mi potrzebne do szczęścia. Masz kogoś? – pytam, zachowując pełen luz. Jakby jego odpowiedź wcale mnie tak bardzo nie interesowała.

– Nie, a ty?

– Tylko roztrzępaną współlokatorkę, ale mam ją pod kontrolą.

– Historia z łóżkiem jest mi znana. Współczuję.

– E tam, nie jest tak źle. Cieszę się, że mam Sophi. Jak coś przeskrobie, to mogę ją później bez skrupułów wykorzystywać do zaspokojenia własnych potrzeb. Emm... czy to zabrzmiało tak dwuznacznie, jak mi się wydaje?

– Bardziej – odpowiada rozbawiony.

– Dobrze, może dzięki temu i ty będziesz sobie zaprzętał mną myśli po nocach.

– I kto tutaj jest wredny?

Siedzimy przy stoliku, ale nie zwracamy uwagi na to, co dzieje się dookoła. Czas jakby się zatrzymał. Rozmawiamy ze sobą na różne tematy, dzięki czemu odkrywam, że oboje wolimy lato od zimy i jesteśmy dość aktywni fizycznie, ale za to oglądamy zupełnie inne filmy i seriale. Podczas kiedy on jest fanem horrorów i sensacji, ja uwielbiam fantasy i bajki dla dzieci. Z każdym wypowiedzianym zdaniem, czuję się w jego towarzystwie swobodniej.

Jestem bardzo bezpośrednią osobą i często zapominam, że innym ta bezpośredniość nie musi się podobać. Mówię, co myślę, robię to, na co mam ochotę, i prawie nigdy nie przejmuję się tym, co powiedzą ludzie. Reinerowi zdaje się to nie przeszkadzać, więc nie hamuję się i daję mu sto procent zwariowanej Natalii Iwańskiej.

W pewnym momencie, gdy jego oczy ponownie zatrzymują się na moich, pozwalam sobie na coś więcej. Unoszę rękę bez wcześniejszego zastanawiania się, czy to wypada i dotykam jego twarzy w miejscu, gdzie ma zrobione blizny.

Odsuwa się gwałtownie, marszcząc przy tym brwi i przeszywając mnie ostrym jak brzytwa spojrzeniem. Natychmiast zabieram dłoń i zaczynam się tłumaczyć:

– Przepraszam, ja tylko... ta charakteryzacja jest obłędna. Wygląda, jak prawdziwe...

Reiner wybuchając śmiechem, zbijając mnie z tropu. Rechocze tak głośno, że nasi przyjaciele przerywają rozmowę, by zerknąć, co się stało. Sama jestem skołowana jego reakcją.

– Czy on się śmieje? – pyta siedzący po mojej lewej stronie Jace. – Dobra, cokolwiek robisz, nie przestawaj.

– Ale ja...

– Kto idzie ze mną zapalić? – melduje się Ina.

Elias od razu wstaje od stołu, a wraz z nim Lottie ze swoim chłopakiem, Benem.

– My i tak się zmywamy – oświadcza nasza gitarzystka, po czym daje Sophi i mnie całusa w policzek i żegna się z resztą.

Po kilku minutach zostaję przy stoliku sama z Reinerem i nie potrafię się zdecydować, czy mnie ta sytuacja cieszy, czy wprost przeciwnie. Moja współlokatorka postanowiła się przewietrzyć i wyciągnęła Lukę na spacer, Scott, najstarszy ze strażaków, stwierdził, że zostawi młodzież w spokoju i będzie już powoli wracał do domu, natomiast Joshua i Jace zdecydowali się dotrzymać towarzystwa Inie i Eliasowi.

– Zrobiłam albo powiedziałam coś głupiego, prawda? – odzywam się jako pierwsza.

– To nie jest charakteryzacja – odpowiada, ale nie wygląda na urażonego, co dodaje mi odwagi, by kontynuować naszą pogawędkę.

– Sorry – mamroczę lekko zawstydzona. Nie znam go i trudno mi przewidzieć, jak się zachowa. Po jego minie nie sposób wywnioskować, jaki kierunek rozmowy najbardziej by go zadowolił. Większość ludzi pewnie zmieniłaby temat, domyślając się historii Reinera we własnym zakresie, jednak ja nigdy nie byłam jak większość. – Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. Jakby na to nie patrzeć, to po części twoja wina.

– Moja? – powtarza, znowu się śmiejąc.

– Przebrałeś się za pieprzonego Freedy’ego Krugera! Każdy na moim miejscu pomyślałby, że te blizny są częścią stroju.

– Niestety to tylko część mnie.

– Dokładnie – potwierdzam, co najwyraźniej go zaskakuje i wprowadza w jeszcze większe zdezorientowanie, więc szybko dodaje: – To tylko część ciebie. Nie mogę się doczekać, by poznać resztę.

– To zabrzmiało jak zaproszenie na randkę.

– Cieszy mnie twoja spostrzegawczość.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. – Pochmurnieje. – Szczerze mówiąc, obawiam się, że jest fatalny, ale...

– ...nie możesz się oprzeć moim wdziękom i będziesz zaszczycony, jeśli pozwolę ci się lepiej poznać – dokończam za niego.

Znów się uśmiecha. Ta wersja bohatera *Koszmaru z ulicy Wiązów* podoba mi się znacznie bardziej. Mimo luźnej atmosfery mam pewne obawy. Znam siebie i mój niewyparzony język. Nie chciałabym nieumyślnie zranić Reinera, zadając nieodpowiednie pytanie albo palnąć jakąś gafę. Gołym okiem widać, że przeszedł przez jakieś gówno i niekoniecznie chce się z tego zwierzać. Jestem wkurzona na Sophi, że mnie nie ostrzegła, ale jednocześnie rozumiem jej decyzję. Domyślam się, że chodziło o to, by Reiner był traktowany jak inni. Jego blizny nie są jakąś katastrofą, ale trudno byłoby ich nie zauważyć. Pokrywają prawie całą lewą część twarzy. Na policzku widnieje grubszy zrost, a skóra pod okiem jest ciemniejsza i pomarszczona. Jego górna warga została

delikatnie zdeformowana po jednej stronie, a rzadszą brew mężczyzny przysłaniają niesforne kosmyki włosów. Przyłapuję się na tym, że zbyt długo wpatruję się w jego usta. Przenoszę spojrzenie na scenę, gdzie gra kolejny zespół. Nawet nie zauważyłam, kiedy zaczęli. Są całkiem niezli, ale nie dorastają nam do pięt.

– Ostatnio nie jestem zbyt rozrywkowy – odzywa się po dłuższym namyśle.

– No co ty nie powiesz. – Kręcę głową. – Musisz nauczyć się dawać kosza, bo kiepsko ci to wychodzi.

Śmieje się i to już któryś raz! Nie ma w tym niczego wymuszonego, to szczerza reakcja na moje słowa. Po tylu sztucznych uśmiechach mojego byłego bez trudu to rozpoznałem.

– Staram się być wobec ciebie uczciwy – oświadczam. – Ja... – Przeciąga to jedno słowo tak długo, jakby nie mógł zdobyć się na odwagę, by wydusić z siebie resztę zdania. – Niedawno kogoś straciłem i... ta osoba ciągle jest dla mnie ważna... a ty wydajesz się być naprawdę w porządku...

Chyba sam nie wierzy, że mi to mówi. Nie muszę czytać w jego myślach, by widzieć, jak wiele go to wyznanie kosztuje. Z doświadczenia wiem, że często łatwiej się nam rozmawia z obcymi niż z bliskimi. Bywa też tak, że zżerające nas od środka uczucia wypływają na zewnątrz w najmniej oczekiwanym momencie.

– Co powiesz na przyjaźń? – przerywam jego wypowiedź, co chyba odbiera jako ratunek, bo wzdycha z ulgą.

– To ich pomysł, prawda? – pyta nagle, przybierając surową minę.

Unoszę brwi, czekając, aż wyjaśni swoją zmianę nastroju. Jest wyraźnie wkurzony i zde gustowany, ale ja nie potrafię zgadnąć, jaki jest tego powód.

– Moi przyjaciele namówili cię, żebyś do mnie zagadała – stwierdza wyraźnie rozczarowany, na co rozdziam usta, nie mogąc uwierzyć, że przyszło mu do głowy coś tak idiotycznego.

W normalnych okolicznościach dostałby za to w pysk. Aż mnie ręka świerzbi, ale się powstrzymuję. Nie znam jego kumpli, więc trudno mi osądzić, czy posunęliby się do czegoś tak słabego. Poza tym nie rozmawiałam z Reinerem na tyle długo, by wiedzieć cokolwiek o jego samoocenie. Mogę się tylko domyślać, że nie jest tak wysoka, jak powinna być. Mężczyzna zdaje się nie zauważać, jak kobiety w pubie wodzą za nim wzrokiem. Blizny na jego twarzy nie mogą być jedyną przyczyną krytycznego nastawienia do siebie, tam jest coś jeszcze, coś o wiele bardziej znaczącego.

Mogłabym najzwyczajniej w świecie wstać i zmienić miejsce albo po prostu pożegnać się i wrócić do domu. Mój tyłek ma jednak zupełnie inne plany i chyba przykleił się do stołka na dobre. Co ważniejsze wcześniej naprawdę dobrze się nam ze sobą gadało i zdążyłam polubić tego faceta. Biorę głęboki wdech i wyznaję prawdziwy powód mojego zainteresowania jego osobą:

– Zrozumiałeś przesłanie moich tekstów chyba jako jedyny w całym pubie. Dlatego do ciebie zagadałam. Nikt mnie o to nie prosił, a nawet gdyby tak się stało, to nie miałyby to znaczenia, bo sama chciałam cię zaczepić. Wydajesz się być fajnym gościem.

Obserwuje mnie uważnie, zapewne zastanawiając się, czy mi zaufać, i w rezultacie wzdycha, przeczesując nerwowo włosy palcami i ucieka ode mnie spojrzeniem.

– Wyszedłem na kompletnego dupka, co? – mówi w końcu.

– Zdarza się najlepszym.

– Podoba mi się twoja otwartość – przyznaje i tym razem to ja się uśmiejczę. – Jeśli chodzi o twoje teksty, to masz po części rację. Kiedy śpiewasz, czuć emocje. Wystarczy się tylko wsłuchać. A ja wsłuchiwałem się chyba za bardzo...

– Wyszedłeś po trzecim kawalku – przypominam mu.

– Gdybym tego nie zrobił, zwymiotowałbym na oczach wszystkich. – Odwraca się do mnie, zatrzymując wzrok na mojej

twarzy. – Miałem wrażenie, że zupełnie obca osoba zna mnie lepiej niż ja sam. Że dokładnie wie, jak się czułem, gdy... – Przerywa i nie zapowiada się na to, by dokończył zdanie.

– Mogę zadać ci osobiste pytanie?

– Myślę, że już dawno przekroczyliśmy granicę normalnej rozmowy osób, które ledwo się znają. Śmiało.

– Czy nasze utwory wywołały w tobie złe uczucia?

– Nie do końca.

– Ale raczej nie chciałbyś powtórki?

– Trudno powiedzieć. To jak ze skokiem na bungee. Zakładasz uprząż, podchodzisz do krawędzi, spoglądasz w dół i... ryzykujesz dla kilku niezapomnianych sekund.

– Myślisz, że ryzyko się opłaciło?

– Zdecydowanie – odpowiada bez wahania.

Czas mija nieubłaganie i ani się obejrzę, a już wybija druga w nocy. W soboty Irish zamyka o trzeciej, więc została nam tylko godzina.

Jace i Joshua opuścili nas dwadzieścia minut temu. Ina jest ostro zajęta dogłębnym poznawaniem Eliasa, a Sophi zwinęła manatki i pojechała do domu Luki, zabierając ze sobą cały nasz sprzęt.

Zanim się pożegnam, lecę jeszcze do ubikacji, a kiedy z niej wychodzę, mało nie dostaję zawału.

– Theo? Co ty tutaj robisz? – Gapię się na mojego byłego jak na ducha, szukając w głowie sposobu na ucieczkę przed tą krępującą sytuacją.

– To chyba jasne, chciałem cię posłuchać – oznajmia niewyraźnie. Od razu rozpoznaję, że jest kompletnie pijany. – Pisałem do ciebie... dzwoniłem...

– Między nami nic nie ma...

– Dlaczego jesteś tego taka pewna? – przerywa mi, wyraźnie rozjuszony. – Mówiłaś, że mnie kochasz.

– Bo tak było, ale teraz...

– Kłamałaś! – Znów wchodzi mi w zdanie. – Bawiłaś się mną.
– O czym gadasz?! – Powoli i ja zaczynam się wściekać. – Doskonale wiesz, jaki był powód naszego rozstania. Zostaw mnie w spokoju!

Chcę go minąć i jak najprędzej wrócić do naszego stolika, ale on łapie mnie za ramię i zaciąga w kąt.

– Chcesz mi powiedzieć, że teraz wolisz się bzykać z dziwo-
łagami? – pyta z drwiną w głosie.

– Coś ty powiedział?

Nie czekam na jego odpowiedź, zaciskam pięść i nie myśląc nad konsekwencjami, kieruję ją w jego twarz. Może i nie jestem zbyt silna, ale celować umiem wyśmienicie. No to jeb!

– Kurwa! – krzyczy, łapiąc się za nos, ale najwyraźniej nie traci ochoty na rozmowę ze mną, bo kiedy tylko ruszam z miejsca, ponownie łapie mnie za rękę i przyciska do ściany. – Pojechało cię? Mogłaś mi go złamać!

– Puszczaj, bo naprawię swój błąd i przyłożę mocniej – ostrzegam go, starając się nie pokazywać, jak bardzo wystraszyła mnie jego reakcja.

– Pamiętam, że kiedyś lubiłaś seks na zgodę – bełkocze mi do ucha.

Zaciskam zęby i tylko ze względu na dawne czasy nie kopię go w krocze, choć jestem tego naprawdę bliska.

– Już ci mówiłam, że to koniec – mówię stanowczo. – Nieważne, co mi powiesz ani co zrobisz, nie wrócę do ciebie. Nie będziemy razem. Lepiej dla ciebie, żebyś to wreszcie zrozumiał. A teraz puszczaj! – Wyryvam się, ale on jest ode mnie o wiele silniejszy.

– Wolisz pójść do łóżka z ledwo poznanym fagasem?

– Na pewno nie pójdę do łóżka z tobą – syczę, znów się szarpiąc. – Jeśli mnie zaraz nie puścisz, zacznę krzyczeć.

– Byliśmy ze sobą szczęśliwi, byliśmy idealną parą...

– Chyba sobie kpisz! Robiłeś mi awantury o byle gównu, a kiedy chciałam o tym porozmawiać, odwracałeś moją uwagę

seksem. To było chore, a nie idealne, i nie mam zamiaru do tego wracać.

– To się jeszcze okaże – warczy, wreszcie się ode mnie odsuwając.

Poprawiam sukienkę, rzucam mu krótkie, przepełnione gniewem spojrzenie, po czym ruszam w stronę naszego stolika.

REINER

Nie mam bladego pojęcia, co w tej dziewczynie sprawiło, że się otworzyłem. Wypiłem tylko dwa piwa, więc nie mogę zwaćć mojej nagłej wylewności na alkohol. Co prawda nie powiedziałem jej o wszystkim, do tego jest jeszcze bardzo daleko, ale samo wspomnienie o bliznach i wiążące się z tym emocje... *Fuck*, rozmawialiśmy o emocjach! Ja, pieprzony Reiner Schwarz, rozmawiałem o emocjach z ledwo poznaną laską.

Kiedy Nat ucieka do łazienki, wypijam resztkę guinnessa i spoglądam w stronę, gdzie znajduje się toaleta. Po chwili zauważam jakiegoś kolesia tępo wgapiającego się w drzwi prowadzące do damskiego kibla. Stoi jak wryty z założonymi na piersi rękami i wygląda na nieźle wstawionego. Chwieje się co jakiś czas i prawdopodobnie na kogoś czeka.

Mój telefon wibruje, zerkam na niego i odkrywam wiadomość od Jace'a. Jak zwykle się o mnie martwi. Widziałem zdumienie malujące się na jego twarzy, gdy jak nienormalny parsknąłem śmiechem na wzmiankę o „charakteryzacji”. Sam nie wiem, dlaczego tak mnie to rozbawiło. Nie mam aż tak wielkiego problemu z własnym wyglądem, jak niektórzy myślą. Moje ciało jest odpychające i tak już zostanie, więc staram się z tym po prostu pogodzić. To jasne, że ślady po oparzeniach źle się prezentują, ale nie chodzi tylko o to, dużo bardziej boli mnie fakt,

że przypominają mi o wypadku. Nie mogę na siebie patrzeć, bo za każdym razem, gdy widzę te cholerne blizny, wracam do wydarzeń, które odebrały mi prawie wszystko.

Mimowolnie zerkam drugi raz w stronę toalet. Nat akurat wychodzi, ale pijany facet zastawia jej drogę, łapiąc gwałtownie za ramię, jakby była jego własnością. Natychmiast wstaję, ale zanim postawię pierwszy krok, szczupła niewinnie wyglądająca blondi wymierza typowi siarczasty prawy sierpowy prosto w nos. Robię wielkie oczy i na kilka sekund nieruchomię. Tego to się w życiu nie spodziewałem. Ma kobieta temperament i skłamałbym, gdybym stwierdził, że mi to nie zaimponowało. Mimo ciosu natręt nie puszcza dziewczyny, zamiast tego zaciąga ją w róg knajpy. Zaciskam pięści, sunąc w ich kierunku. Nienawidzę skurwieli nierozumiejących słowa „nie”.

Czuję, jak zaczyna się we mnie gotować. Odkąd straciłem pracę, wystarczą nawet drobnostki, by obudzić we mnie nieposkromioną bestię. Jestem świadomy tego, że nie powinienem się wdawać w bójkę, ale to jest silniejsze ode mnie. Zresztą ten dupiek sam jest sobie winien, zasłużył na porządne lanie.

Kiedy jestem już wystarczająco blisko, kutas zabiera rękę od Nat i odsuwa się, pozwalając jej odejść. Czyżby jego szósty zmysł podpowiedział mu, że lada chwila dostanie wpierdol?

– Wszystko w porządku? – pytam, ściągając na siebie ich uwagę.

– To tylko nieporozumienie – wyjaśnia dziewczyna w stroju wampirzycy, ale ja nie jestem ślepy i dostrzegam, że jest roztrzęsiona, choć stara się to za wszelką cenę zakamuflować uśmiechem. – Chodźmy już – mówi, łapiąc mnie pod ramię, i prowadzi do stolika.

– Jesteś samochodem? – pytam.

– Tak, wypiliśmy tylko jednego desperadosa, więc mogę bez przeszkód prowadzić. W Polsce by to nie przeszło.

– Wiedziałem, że nie jesteś stąd! Akcent masz ledwo wyczuwalny, ale jednak. Zastanawiałem się tylko, gdzie cię wcisnąć, a tu proszę, Polka.

- Ślāzaczka! – poprawia mnie bezzwłocznie.
- Możesz jaśniej? Moja znajomość polskiej geografii kończy się na tym, że wiem, gdzie leży stolica.
- Musisz wiedzieć tylko tyle, że nie daję sobą pomiatać, a kiedy trzeba, to potrafię przyłożyć. Moja rodzina jest gorsza od mafii, więc nie radzę ich wkurzać. Ślaskie jedzenie jest najlepsze na świecie i pod żadnym pozorem się temu nie sprzeciwiaj, szczególnie w towarzystwie prawdziwych hanysów.
- Hanysów? – powtarzam po niej z trudem, pierwszy raz słysząc to słowo.
- Oj, synek, czeka cię wiele pracy, ale nie martw się, jesteś w dobrych rękach. – Klepie mnie po ramieniu.
- A co to ma niby oznaczać? – Śmieję się.
- Najchętniej spędziłbym z tą kobietą całą noc w Irish. Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułem się tak... normalnie.
- Dowiesz się na naszym kolejnym spotkaniu – tłumaczy rozweselona.
- Już nie mogę się doczekać.